

„Ścieżki zdrowia”

Walka z pamięcią o Poznańskim Czerwcu

KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

ISSN 0867-8952

NR 6(426) CZERWIEC 2026



**CZERWIEC
1956 | 1976**

Gdy robotnicy wyszli przeciw
„robotniczej” władzy...



KOMBATANT
BIULETYN HISTORYCZNY
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

ISSN 0867-8952
nr 6(426) czerwiec 2026

dołącz do nas na facebooku i na X
  www.facebook.pl/udskior
<https://x.com/Kombatanci?mx=2>

Redakcja:
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa

Redaktor naczelny:
Katarzyna Zientara-Majewski
e-mail: katarzyna.zientara@kombatanci.gov.pl

Opracowanie graficzne: Hanna Sater

Korekta: Norbert Nowotnik

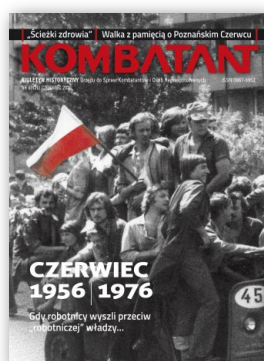
Archiwalne numery „Kombatanta”
dostępne są na stronie www.kombatanci.gov.pl

 Projekt zrealizowano
we współpracy z Narodowym
Archiwum Cyfrowym

Wydawca:
Urząd do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
punkt informacyjny tel. 22 276 77 77
www.kombatanci.gov.pl

Druk: Centrum Obsługi Administracji Rządowej
ul. Powsińska 69/71, 02-903 Warszawa

Nakład: 3200 egz.



w numerze

4 Gdy robotnicy wyszli przeciw „robotniczej” władzy...

W czerwcu 1956 r. w Poznaniu, a 20 lat później w Radomiu, Ursusie i Płocku na ulicę wyszli ci, w imieniu których komunistyczna władza rzekomo sprawowała rządy – robotnicy. Oba protesty były jednak czymś więcej niż sprzeciwem wobec nagłych podwyżek: były buntem przeciw upokorzeniu, kłamstwu i przemocy państwa

Norbert Nowotnik

6 Procesy poznańskie 1956

Nie pozwoliliśmy zepchnąć Czerwca do ryzostoka. Walczyliśmy jak szczury przeciw lwom, ale w historii czasem nawet szczurom zdarza się zwyciężyć – to słynne słowa mec. Michała Grzegorzewicza, który tak podsumował rolę adwokatury w procesach uczestników Poznańskiego Czerwca 1956 przed sądem

Adam Suwart

10 Traumy dziedziczone

Ojciec odszedł zaledwie kilka miesięcy po częściowo wolnych wyborach i powołaniu pierwszego niekomunistycznego rządu – o Janie Suwarcie, uczestniku Poznańskiego Czerwca 1956, jednym z oskarżonych w procesie „dziewięciu”, a także działaczu Solidarności opowiada jego syn, Adam Suwart

Katarzyna Zientara-Majewski

14 Historia rodzi się z chaosu

Filip Bajon, reżyser filmu „Poznań 56” opowiada o obrazach, które zostały w nim po tragicznych wydarzeniach: rozbrajaniu komendy milicji, przewróconym tramwaju i śladach po kulach na murach poznańskich kamienic.

Norbert Nowotnik

18 Odrąbiemy wam ręce! Walka z pamięcią o Poznańskim Czerwcu

Komunistyczna propaganda powtarzała, że państwo reprezentuje interesy robotników. Tymczasem 70 lat temu na ulicach Poznania przeciwko władzy ludowej wystąpili ci, którzy mieli być jej najwierniejszym zapleczem społecznym

Waldemar Kowalski

23 Musieliśmy wyjść na ulice

Miała zaledwie 20 lat, gdy wybuchły protesty w Radomiu. O tym, co skłoniło młodą kobietę do wyjścia na ulicę i włączenia się w robotniczy bunt, opowiada Mirosława Hetman, uczestniczka radomskiego protestu w 1976 r., członkini Stowarzyszenia Radomski Czerwiec '76

Katarzyna Krzykowska

27 Plecy sine od pałek, czyli „ścieżki zdrowia”

24 czerwca 1976 r. premier Piotr Jaroszewicz przedstawił w Sejmie „propozycję zmian struktury cen” w celu poddania ich „konsultacjom społecznym”. Były to jednak pozory

Grzegorz Majchrzak

31 Biblioteka SZEFA URZĘDU

OKŁADKA: Radomski Czerwiec '76 FOT. EAST NEWS

Szanowni Państwo,

maj pozostawił nas z rocznicami, które od pokoleń zajmują szczególne miejsce w polskiej pamięci – uchwalenia Konstytucji 3 Maja i zwycięstwa pod Monte Cassino. Pierwsza przypomina o odpowiedzialności za państwo, druga o najwyższej cenie, jaką przyszło zapłacić za jego niepodległość. Czerwiec z kolei kieruje naszą uwagę ku innemu wymiarowi tej samej historii. To miesiąc, w którym bohaterami stawali się nie żołnierze na polach bitew, lecz robotnicy wychodzący na ulice polskich miast. Nie walczyli z zewnętrznym najeźdźcą. Upominali się o godność, prawdę i prawo do życia w państwie szanującym własnych obywateli. Tak było w czerwcu 1956 roku w Poznaniu. Tak było również dwadzieścia lat później w Radomiu, Ursusie i Płocku. Ich odwaga, podobnie jak poświęcenie żołnierzy wcześniejszych pokoleń, stała się częścią polskiej drogi do wolności. Temu właśnie poświęcamy najnowszy numer „Kombatanta”.

Hasło przewodnie numeru – *Gdy robotnicy wyszli przeciw „robotniczej” władzy...* – trafnie oddaje paradoks Polski Ludowej. Państwo, które deklarowało, że działa w imieniu ludzi pracy, nie zawahało się użyć siły przeciwko tym, których miało reprezentować. Protestujących spotkały represje, a ich postulaty próbowano przemilczeć lub przedstawić jako przejaw wrogości wobec „legalnych” organów władzy państwowej. Dziś wiemy, że domagali się rzeczy elementarnych – poszanowania godności, uczciwości i prawa do życia w kraju, który nie będzie oparty na przemocy i kłamstwie – żądali chleba i wolności.

Poznański Czerwiec '56 oraz strajki Czerwca '76 nie były wydarzeniami odosobnionymi. Stały się kolejnymi etapami procesu, który doprowadził do odrodzenia suwerennej Rzeczypospolitej. Doświadczenia ich uczestników budowały solidne fundamenty, na których opierały się późniejsze działania opozycji demokratycznej i Solidarności. Historia pamięta przede wszystkim daty przełomów. Naszym obowiązkiem jest pamiętać o ludziach, których odwaga uczyniła je możliwymi, choć sami często nie doczekali ich następstw.

Mam nadzieję, że lektura tego wydania pozwoli Państwu dostrzec w czerwcowych protestach coś więcej niż kolejne wydarzenia rocznicowe. To historia ludzi, którzy w imię godności i prawdy potrafili powiedzieć „nie”, choć wiedzieli, jak wysoką cenę mogą za to zapłacić. Niech ten numer będzie okazją do refleksji.



Lech Parell

*Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych*

Gdy robotnicy wyszli przeciw „robotniczej” władzy...

TEKST | Norbert Nowotnik



FOT. EAST NEWS

W czerwcu 1956 roku w Poznaniu, a 20 lat później w Radomiu, Ursusie i Płocku na ulicę wyszli ci, w imieniu których komunistyczna władza rzekomo sprawowała rządu – robotnicy. W obu przypadkach punktem zapalnym były sprawy płac i cen, a więc elementarne bezpieczeństwo materialne. Oba protesty były jednak czymś więcej niż sprzeciwem wobec nagłych podwyżek: były buntem przeciw upokorzeniu, kłamstwu i przemocy państwa.

Dla rządzących powojenną Polską komunistów czerwiec nie był szczęśliwym miesiącem. Wszak to w czerwcu 1989 roku przegrali plebiscyt na temat swoich rządów, ubrany w szaty częściowo demokratycznych wyborów, co zapoczątkowało ostateczny upadek PRL, ale już wcześniej – i to dwukrotnie – czerwcowe strajki i demonstracje uliczne nadwierały jej fundamenty – przypomniał w związku z tegorocznymi rocznicami prof. Antoni Dudek, historyk i politolog, który w serwisie Interia Wydarzenia podkreślił, że zarówno wydarzenia z 1956 roku, jak i z 1976 roku zmieniły bieg polskiej historii.

Mit PRL jako państwa robotników

Wspólne zestawienie Poznania '56 oraz Radomia, Ursusa i Płocka '76 nie wynika tylko z kalendarza, lecz przede wszystkim z tego, że w obu przypadkach bezpowrotnie rozwiewał się mit Polski Ludowej jako państwa robotników. Bo choć władza przedstawiała się jako reprezentant klasy pracującej, to gdy robotnicy upomnieli się o płace, ceny, warunki życia czy zwykłą ludzką godność, to byli traktowani jak przeciwnicy. Przypomnijmy, że w Poznaniu źródłem gniewu był narastający od miesięcy spór o warunki pracy, w tym normy i płace, w Zakładach im. Stalina, czyli dawnym Cegielskim; w Radomiu, Ursusie i Płocku bezpośrednio iskrą stała się zapowiedź dra-

stycznych podwyżek cen żywności przez ekipę Edwarda Gierka.

– *Pożarów nie gasi się kulami i nie karmi się kulami ludzi, którzy wołają o chleb* – podkreślił dr Stanisław Hejnowski, jeden z najbardziej niezłomnych przedstawicieli poznańskiej palestry. Broniąc oskarżonych robotników, przypominał coś, co pozostaje aktualne także przy opisie Czerwca '76, a więc to, że wielka historia nie zawsze zaczyna się od wielkich hasel, lecz często od rzeczy najprostszych – od wypłaty, kolejki w sklepie, garnka na kuchni i domowego rachunku, który przestaje się zgadzać. I tak było w obu tych przypadkach robotniczych protestów.

Było jasne też, że ani w Poznaniu, ani w Radomiu ludzie nie wychodzili z gotowym programem obalenia systemu. Kiedy jednak tłum rusza przez miasto, kiedy pojawiają się hasła, kiedy gniew zaczyna kierować się ku symbolom władzy, a do robotników dołączają inni mieszkańcy, protest przestaje być wyłącznie sprawą danego zakładu pracy. W Poznaniu było to szczególnie widoczne w dramatycznym zwrocie ku gmachom aparatu bezpieczeństwa; w Radomiu – w pochodzie pod Komitet Wojewódzki PZPR, czyli miejsce, w którym lokalna władza stała się konkretnym adresem społecznego gniewu.

Przemoc miała różne oblicza

Badacze drugiej połowy XX-wiecznej historii Polski zwracają jednak uwagę,

że podobieństwa nie powinny prowadzić do zbyt łatwych porównań. Poznań '56 był wydarzeniem gwałtowniejszym, bardziej dramatycznym, chwilami przypominającym lokalne powstanie miejskie, w którym na ulice wyjechały czołgi, padły strzały, a po stronie protestujących byli zabici i ranni. Radom '76 miał inny przebieg i nie zapisał się w ludzkiej pamięci jako starcie z wojskiem, lecz jako doświadczenie odwetu państwa już po proteście, gdy brutalność wróciła w biciu robotników pałkami, „ścieżkach zdrowia”, zwolnieniach z pracy, procesach i propagandowym napiętnowaniu demonstrantów. O ile w jednym przypadku symbolem stały się strzały i wojsko na ulicach, to w drugim – milicyjna zemsta, urzędowa represja i próba moralnego upokorzenia tych, którzy ośmielili się zaprotestować.

Co ciekawe, w obu przypadkach przemoc państwa miała także swój podobny język. Po Poznaniu premier Józef Cyrankiewicz mówił o „prowokatorach” i „szaleńcach”, którym władza ludowa „odrabia” rękę podniesioną przeciw niej. Po Radomiu sięgnięto po słowo „warchoły”, które miało odebrać protestującym prawo głosu i przedstawić ich nie jako skrzywdzonych obywateli, lecz jako ludzi wręcz spoza wspólnoty, niegodnych wysłuchania i solidarności. W PRL był to zresztą stały mechanizm: robotnik pozostawał bohaterem oficjalnej propagandy tak długo, jak pracował, milczał i mieścił się w wyznaczonej mu roli, ale gdy wychodził na ulicę i mówił „sprawdzam”, stawał się przeciwnikiem państwa.

– *Nikt się nami nie interesował. Poganiano nas tylko jak niewolników. Każdemu, kto poszedł ze skargą, grożono. Nasza bezsilność była nie do zniesienia* – mówił Stanisław Matyja, jeden z przywódców poznańskiego protestu, wspominając atmosferę w dawnym Cegielskim. Dwie dekady później ten sam ludzki sens robotni-

czego sprzeciwu, choć wyrażony już językiem moralnym i religijnym, uchwycił ks. Roman Kotlarz, proboszcz z Pelagowa.. – *Najmilsi, razem z wami byłem obecny na ulicach miasta Radomia, błogostawiłem wasze szeregi, wasze trudy, wasze słuszne prawa. (...) Ukochani, jesteście zobowiązani wobec tych naszych braci Polaków, którzy w tej chwili ogromnie cierpią katorgi. Nie wolno nam milczeć, nie wolno nam nie modlić się za nich. (...) Chleba naszego powszedniego daj nam, tak wołał Radom, tak żeśmy wspólnie wołali razem – mówił „radomski Popiełuszko”.*

Pożarów nie gasi się kulami i nie karmi się kulami ludzi, którzy wołają o chleb

Od samotności do solidarności

Między rokiem 1956 a 1976 pojawia się jednak zasadnicza różnica. Po Poznaniu robotnicy pozostali w dużej mierze sami wobec państwa, które dysponowało wojskiem, sądami, prokuraturą i propagandą. Październikowa odwilż zmieniła język władzy, zmieniła część ocen (zwłaszcza pod wpływem tajnego referatu Chruszczowa, w którym oskarżył Stalina o liczne zbrodnie) i pozwoliła niektórym przyznać, że robotnicy mieli swoje racje. Nie stworzyła jednak trwałej instytucji obrony skrzywdzonych. Z kolei po Radomiu, Ursusie i Płocku było inaczej, bo samotność represjonowanych została przełamana, a obok pobitych, wyrzuconych z pracy i stawianych przed sądem pojawili się ludzie gotowi nie tylko współczuć, lecz także działać.

To z Czerwca '76 wyrastał Komitet Obrony Robotników, co było momentem ważnym nie tylko organizacyjnie,

lecz także moralnie. Robotniczy gniew nie został już zamknięty wyłącznie w pamięci rodzin, zakładów pracy i miast napiętnowanych przez propagandę, ale stał się sprawą ludzi spoza fabryk – intelektualistów, prawników, pisarzy, studentów i duchownych. Władza chciała odizolować Radom, Ursus i Płock, przedstawić je jako miejsca hańby oraz pokazać reszcie kraju, że za sprzeciw płaci się samotnością. Odpowiedzią była solidarność rozumiana bardzo konkretnie, np. jako paczka, pieniądze dla rodziny, obecność na rozprawie czy trwale zapisane imię i nazwisko pobitego.

Podsumowując, Poznań '56 pokazał, że robotniczy bunt jest możliwy, Grudzień '70 pokazał cenę, jaką można za niego zapłacić, a Czerwiec '76 dowiódł, że do pobitych i wyrzuconych z pracy mogą przyjść inni – z pomocą i odwagą cywilną. Z kolei Sierpień '80 połączył te doświadczenia w nową całość: strajk, pamięć przemocy, postulaty socjalne, ale też język praw obywatelskich i organizację, która w 1989 roku, oby już na zawsze, przyniosła Polsce wolność. ■



FOT. EAST NEWS

Procesy poznańskie 1956

TEKST | Adam Suwart

Tak, broniliśmy oskarżony Czerwiec, przeciw propagandzie, przeciw prasie, przeciw Urzędowi Bezpieczeństwa, przeciw wszystkim możliwym Polski Ludowej. Nie pozwoliliśmy zepchnąć Czerwca do rynsztoka. Walczyliśmy jak szczury przeciw lwom, ale w historii czasem nawet szczurom zdarza się zwyciężyć – to słynne słowa mec. Michała Grzegorzewicza, który tak podsumował rolę adwokatury w procesach uczestników Poznańskiego Czerwca 1956 przed Sądem Wojewódzkim w Poznaniu.



Adwokaci mieli niełatwe zadanie. Ich klienci – oskarżeni Poznaniacy – byli zagrożeni nawet karą śmierci za czyny zarzucane im przez prokuraturę. Sami obrońcy musieli zaś liczyć się z prześladowaniami za uczciwą obronę oddanych pod ich pieczę podsądnych. Takie represje rzeczywiście później ich spotkały.

Aresztowania i oskarżenia

Już 28 czerwca 1956 roku Komitet ds. Bezpieczeństwa Publicznego wydał postanowienie o wszczęciu śledztwa. Pod nadzorem prokuratury prowadził je Wojewódzki Urząd ds. Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu. Władza komunistyczna zatrzymała ponad 1100 osób. Wielu zatrzymanych już

w nocy z 28 na 29 czerwca poddano brutalnym torturom, m.in. w punkcie filtracyjnym na poznańskim lotnisku Ławica, dokąd przybyli przedstawiciele generalicji – Rokossowski, Popławski i Bordziłowski – oraz premier PRL Józef Cyrankiewicz. Ten ostatni wygłosił na antenie Polskiego Radia niesławne przemówienie, którego fragment na dziesięciolecie zapadł w pamięć Poznanianek i Poznaniaków: *Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej, niech będzie pewny, że mu tę rękę władza ludowa odrąbie.*

Ponad 135 osób objęto grupowymi aktami oskarżenia przygotowanymi do wniesienia do sądu. Ostatecznie we wrześniu 1956 roku stanęły przed nim 22 osoby. W procesie „trzech” oskar-

Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej, niech będzie pewny, że mu tę rękę władza ludowa odrąbie

Józef Cyrankiewicz

żeni odpowiadali za lincz na kapralu UB. W dwóch procesach politycznych – „dziewięciu” i „dziesięciu” – Poznaniakom zarzucono m.in. zbrojną napad i gwałtowny zamach na funkcjonariuszy UB i MO, chęć obalenia ustroju PRL, nielegalne posiadanie broni, rozbrojenie więzienia i komisariatów milicji. Prokuratura zakwalifikowała te czyny jako naruszenia tzw. małego kodeksu karnego, czyli Dekretu z 13 czerwca 1946 roku o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy Państwa.

Oskarżeni od początku byli więźniami sumienia. Przetrzymywani w lo-



chach UB byli łżeni, poniżani, bici, torturowani, dręczeni psychicznie i publicznie zniesławiani przez usługowe komunistyczne media oraz przedstawicieli władzy.

Akt oskarżenia

Przygotowany w toku niemal trzymiesięcznego, bestialskiego śledztwa akt oskarżenia w procesie dziewięciu stwierdzał: *W dniu 28 czerwca 1956 roku w Poznaniu w czasie strajku i demonstracji grupa awanturników i elementy kryminalne rozwinęły wrogą akcję, w wyniku której dopuszczono się aktów gwałtu i terroru. Na placu przed Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, gdzie odbywała się demonstracja, elementy wrogie i awanturnicze, działające w dużym stopniu pod wpływem oszczerczej, zięjącej nienawiścią do Polski Ludowej propagandy radiowej i ulotkowej, prowadzonej przez ośrodki imperialistyczne, wznowiły antypaństwowe, prowokacyjne okrzyki i hasła. Elementy te, organizując się w toku zajęcia i pociągając za sobą część tłumu, wtargnęły do gmachu Prezydium Miejskiej Rady Narodowej i innych instytucji, rozbiły wię-*



FOT. EAST NEWS (2)

zienie, rozbroiły szereg jednostek MO oraz dopuścili się zbrojnej napaści na funkcjonariuszy organów bezpieczeństwa publicznego i żołnierzy Wojska Polskiego. Procesy poznańskie rozpoczęły się w drugiej połowie września 1956 roku i szybko stały się światową sensacją.

Naciski na władze

Z początkiem lipca 1956 roku wiele osobistości i instytucji świata zachodniego naciskało na władze PRL, by przeprowadziły uczciwe procesy zatrzymanych. Informacje o strajku w Poznaniu szybko dotarły na Zachód – 28 czerwca 1956 roku odbywały się Międzynarodowe Targi Poznańskie z udziałem zagranicznych wystawców, których w konsternację wprawili widok zamieszek na ulicach miasta. Wielu z gości wykonało fotografie i zdołało wywieźć klisze z Polski. Zdjęcia szybko obiegały światową prasę.

Presja opinii międzynarodowej, odwaga adwokatów i biegłych sądowych, którzy byli naukowcami, także obecność na sali sądowej dyplomatów, dziennikarzy zagranicznych oraz przedstawicieli organizacji praw człowieka i związków zawodowych z Europy Zachodniej oraz postawa części oskarżonych przyczyniły się do tego, że procesy miały w pewnym stopniu uczciwy przebieg i były bliższe zasadom praworządności. Sąd postanowił nie brać pod uwagę zeznań złożonych podczas śledztwa prowadzonego przez Urząd Bezpieczeństwa, wymuszonych biciem. Oskarżonym pozwolono na swobodne wypowiedzi. Z wielką swobodą wypowiadali się również obrońcy. Ich przemówienia, pełne erudycji prawniczej, są chlubą polskiej palestry i przeszły do historii adwokatury II połowy XX wieku.

W poznańskich salach sądowych po raz pierwszy od dekady w takich okolicznościach publicznie oskarżono system stalinowski. Adwokat Hejnowski w procesie dziesięciu powie-



FOU EAST NEWS (2)

dział m.in.: *Wierzę, że krew ofiar tych zająć nie została przelana na próżno. Ja wierzę, że nad grobami tych, którzy polegli, spełni się zapowiedź, którą w „Nocy Listopadowej” Stanisław Wyspiański włożył w usta Korze, bogini wiekuiście odradzającego się życia:*

*Krwi przelanej nie zmarnię
krwią pola a rolę użyznię,
i synów z krwi tej dam kiedyś
Ojczyźnie”.*

Warto dodać, że początkowo władze planowały urządzić typowe procesy pokazowe w stylu stalinowskim. Ponieważ jednak podczas śledztwa większość podejrzanych została tak skatowana, że nie można było ich pokazać publicznie, termin rozpoczęcia procesów przesuwano. W tym czasie rosło zainteresowanie sytuacją aresztowanych ze strony opinii publicznej, także na Zachodzie. Wyrażało się ono licznymi petycjami kierowanymi do rządu PRL i wystąpieniami publicznymi, m.in. Alberta Camusa, który już 12 lipca 1956 roku w specjalnym wystąpieniu ujął się za robotnikami Poznania i aresztowanymi.

Cele prokuratorów były jednoznaczne: udowodnić zarzuty przypisane starannie wyselekcjonowanym oskarżonym, ukazać ich jako renegatów z klasy robotniczej, kryminalistów, co najmniej inspirowanych przez „propagandę stalinowską”. Służyć temu miało utrzymanie kwalifikacji czynów zarzucanych oskarżonym na podstawie stalinowskiego małego kodeksu karnego, który przewidywał drakońskie kary. Grupowe akty oskarżenia konstruowano tak, aby na czele grupy stał „przestępca”, „chuligan” lub „osoba karana” i w ten sposób rzucał cień na pozostałych współoskarżonych. Mieli oni zostać „wyobcowani z klasy robotniczej”.

Prokurator generalny PRL Marian Rybicki skierował nawet w tej sprawie do Poznania specjalnego wysłannika – Gustawa Auscalera, byłego sędziego Sądu Najwyższego PRL, zaangażowanego m.in. w proces gen. Augusta Fieldorfa „Nila”, skazanego na śmierć.



Jak pisze badaczka Czerwca '56, Kinga Przyborowska, zadanie obrońców było niesłychanie trudne: musieli w ciągu siedmiu dni przygotować obronę osób, przeciwko którym opresyjne państwo komunistyczne przez ponad dwa miesiące szykowało akty oskarżenia. Poznańscy adwokaci utworzyli wieloosobowy zespół, który podjął się obrony nieodpłatnie lub za niską opłatą, zapewniając tym samym obrońcę każdemu z oskarżonych.

Oświadczenia socjologów

Wielkim wkładem w praworządny charakter procesów i – w praktyce – w obronę prawdy o Poznańskim Czerwcu 1956 roku były także oświadczenia procesowe powołanych przez sąd, na wniosek obrony, biegłych socjologów: prof. Józefa Chałasińskiego i prof. Tadeusza Szczurkiewicza. Ich stwierdzenia o psychozie tłumu panującej na ulicach Poznania po oddaniu pierwszych strzałów do bezbronnej

relacje uczestników Czerwca '56

Ireneusz Cieśliński, lekarz, świadek obrony na procesie poznańskim

Pierwsi ranni – dziś nie pamiętam dokładnie – byli ok. 10 z minutami, a ludność mogła mieć broń dopiero ok. 12 z minutami, to znaczy po zdobyciu więzienia. To była pierwsza broń w Poznaniu, czyli ludność nie mogła rozpuścić tego całego piekła, tylko Urząd Bezpieczeństwa. Oprócz rannych, dostarczano nam też zabitych. Część umierała u nas. Ranni byli natychmiast operowani na dwóch salach. Z ciężkich wypadków pamiętam takiego chłopca, gimnazjalistę, szesnasto-siedemnastoletniego, pokłutego bagnietami [Mariana Kubiaka]. Były także przestrzały klatki piersiowej, przestrzały brzucha.

ludności z gmachu UB i na widok padających od kul dzieci i kobiet przyszyły w sukurs obronie i przyczyniły się do zmiany kwalifikacji prawnej czynów, a tym samym do złagodzenia wyroków.

Pod naciskiem opinii publicznej procesy były transmitowane – z nie-

wielkim, cenzorskim poślizgiem – przez Polskie Radio, a następnie za pomocą kolchoźników w zakładach pracy i na ulicach Poznania. Pisała o nich prasa w całej Polsce, choć w sposób stroniczy; pisały o nich także czasopisma za granicą, m.in. w RFN, Wielkiej Brytanii, Francji, USA, Nowej Zelandii, RPA, Australii i Indiach.

Wyroki i represje

W procesach zapadły stosunkowo łagodne wyroki, a niektórych oskarżonych uniewinniono. Wszystkich wypuszczono na wolność po dojściu Gomułki do władzy. Oskarżonych i adwokatów spotkały jednak dotkliwe represje: przez wiele dziesięcioleci byli inwigilowani i nękanymi postępowaniami administracyjnymi, utrudniano im zatrudnienie; niektórzy z nich stali się w PRL pariasami, zmarli przedwcześnie lub w niejasnych okolicznościach.



Adam Suwart
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Traumy dziedziczone

Ojciec nie zdążył odebrać swojej wolności – o Janie Suwarcie, uczestniku Poznańskiego Czerwca 1956, jednym z oskarżonych w osławionym procesie „dziewięciu”, a także działaczu Solidarności opowiada jego syn, Adam Suwart.

Ojciec odszedł zaledwie kilka miesięcy po częściowo wolnych wyborach i powołaniu pierwszego niekomunistycznego rządu. Doczekał końca systemu, przeciwko któremu buntował się przez większą część życia. Nigdy nie odpowiem z całkowitą pewnością na pytanie, jak oceniliby Polskę po 1989 roku. Był człowiekiem niezależnym, niechętnym prostym podziałom i schematom. Sądzę jednak, że pozostałby wierny własnym przekonaniom. Nie wydaje mi się, by odnalazł się w bezideowości i politycznym koniunkturalizmie, któ-

re, niestety, dość szybko pojawiły się w życiu publicznym po przełomie – opowiada Adam Suwart.

28 czerwca 1956 roku młody Jan Suwart znalazł się w centrum wydarzeń Poznańskiego Czerwca...

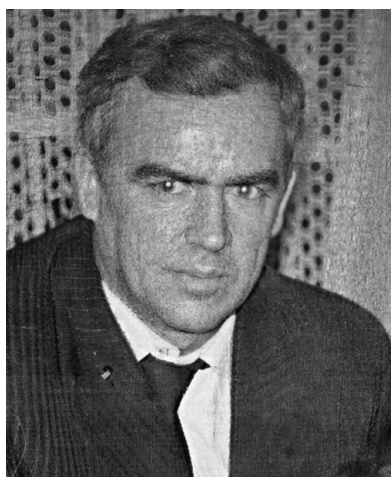
Ojciec miał wtedy 22 lata i pracował jako kierowca. Tego dnia o świcie wyjechał służbowo do Pniew. W drodze powrotnej do Poznania, pewnie około godziny 7 lub 8, zobaczył coś, co w realiach tamtego państwa było niemal niewyobrażalne – grupy ludzi na ulicach, już na rogatek miasta, prowi-

zoryczne transparenty, narastający ruch społeczny, wreszcie tłumy ludzi na ulicach. Po przyjeździe do zakładu pracy usłyszał, że w mieście trwa strajk. Było to niepojęte. Wkrótce znalazł się w centrum demonstracji – najpierw pod Zamkiem, potem pod gmachem Komitetu Wojewódzkiego PZPR. W kulminacyjnym momencie na ulicach mogło być nawet sto tysięcy osób.

Moment przełomowy nastąpił dopiero później. Co dokładnie wtedy się wydarzyło?

Do pewnego momentu był obserwatorem zająć – spokojnej demonstracji i oczekiwania na przybycie władz. Wszystko zmieniło się w chwili, gdy zobaczył funkcjonariuszkę strzelającą z okna gmachu Urzędu Bezpieczeństwa do tłumu nieuzbrojonych ludzi – w tym kobiet i dzieci.

W 1981 roku wspominał w audycji radiowej: „To był straszny gniew, straszny bunt. Jak można było strzelać do bezbronnych ludzi?”. Ten moment stał się dla niego punktem zwrotnym. Ojciec zdobył wtedy samochód – „warszawę” z garaży UB, do których funkcjonariusze mieli już odcięty dostęp, a następnie wraz z kolegą zaczął przewozić broń z więzienia przy ulicy



Jan Suwart FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Młyńskiej w rejon ulicy Kochanowskiego, gdzie trafiała do demonstrantów.

Sam również włączył się w walkę – z poddasza kamienicy przy ulicy Pozańskiej 49 ostrzeliwał budynek Urzędu Bezpieczeństwa, usiłując odeprzeć ogień prowadzony do nieuzbrojonych ludzi. Nigdy się później do tego publicznie nie przyznał. Po zakończeniu starć uniknął zatrzymania podczas obławy i przez pewien czas ukrywał się przed poszukującymi go ubekami.

Ojca „wyspał” jeden z kolegów, co zadecydowało o jego poszukiwaniu, ujęciu przez UB, torturowaniu i po-

stawieniu w stan oskarżenia. Tata nigdy nie miał do niego pretensji o to, że obciążył go zeznaniami, bo wiedział, że były one wymuszone torturami. Z protokołów przesłuchań wiem, że ojciec, w wyniku długotrwałej presji w śledztwie w kazamatach UB, załamał się w pewnym momencie, choć przyznał się tylko do własnej winy i nikogo nie obciążył, mimo że był do tego nakłaniany.

Czy ojciec był przygotowany na konsekwencje?

Dobrze znał realia systemu. Wychowywał się w rodzinie silnie uwikłanej w historię polityczną. Jego ojciec, mój dziadek Adam Suwart, był przedwojennym komunistą, karany politycznie w II Rzeczypospolitej. Podczas wojny rodzina ukrywała się na obrzeżach Poznania przed Niemcami. Po 1945 roku Adam Suwart został skierowany przez partię do pracy w aparacie bezpieczeństwa – w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego, w sekcji kontrwywiadu. Nie miał nic wspólnego z pionem śledczym – odpowiadał za rozpracowywanie zakładów pracy pod kątem kradzieży lub sabotażu.

Wkrótce jednak sam stał się ofiarą systemu, któremu służył. Został podstępnie aresztowany w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie w styczniu 1952 roku. Śledztwo – z konwejerami, brutalnymi przesłuchaniami i torturami – prowadził, m.in. na Mokotowie, kapitan MBP, późniejszy pułkownik, Stanisław Niewodzki. We wrześniu 1953 roku stalinowski Wojskowy Sąd Rejonowy w sfingowanym procesie skazał dziadka na cztery lata więzienia pod zarzutem, bycia agentem policji politycznej II RP w strukturach KPP. Represje dotknęły całą rodzinę, włącznie z aresztowaniami, utratą pracy, izolacją i tragicznymi wydarzeniami, które odcisnęły piętno na kilku pokoleniach. Zamęczono na śmierć moją

babcię, gdy miała 52 lata. Wezwano ją na przesłuchania do Warszawy, dręczono i poddano przymusowi farmakologicznemu, następnie odizolowano w zakładzie psychiatrycznym. Rodzina nie mogła jej odwiedzać. Z powodów politycznych, a nie medycznych, została poddana leukotomii przedczołowej [zabieg polegający na przerwaniu włókien nerwowych między płatem czołowym mózgu a międzymózgowiem – red.]. Zmarła w 1954 roku w samotności i cierpieniu. Zabito też 22-letniego brata mojego ojca. Tata wraz z rodzeństwem doświadczył głodu, a mając 19 lat włamał się do sklepu, żeby zdobyć jedzenie i został za to skazany na ponad trzyletnie więzienie.

Wspominał pan o okresie po wyjściu ojca z więzienia...

Choć w czasie odwilży gomułkowskiej opuścił więzienie wraz z innymi uczestnikami Czerwca '56, nie oznaczało to dla niego realnego powrotu do normalności. W dokumentach Służby Bezpieczeństwa funkcjonował jako „bandyta polityczny”. To określenie na zawsze zdefiniowało jego sytuację. Był stale obserwowany, miał trudności z zatrudnieniem, a kolejne miejsca pracy były odwiedzane przez funkcjonariuszy SB, którzy sugerowali jego zwolnienie. W praktyce oznaczało to życie na marginesie – bez stabilizacji zawodowej, bez możliwości awansu, bez prawa do wielu podstawowych świadczeń.

Przez pewien czas, wraz z rodziną i Januszem Kulasem, uczestnikiem Czerwca '56 i oskarżonym w procesach, funkcjonował niemal wędrownie, podejmując dorywcze prace w różnych częściach kraju. System nie pozwalał mu się zakorzenić. Tak przetrwał do końca lat 70., kiedy to urodziłem się ja, jego piąte dziecko. Wtedy nastąpił kolejny przełom. Ojciec zaangażował się w tworzenie struktur Solidarności w miejscu, gdzie praco-

wał jako kierowca. Był też współzałożycielem jednej z pierwszych organizacji upamiętniających Czerwiec '56 – Klubu Pamięci Poznańskiego Czerwca przy Zarządzie Regionu Wielkopolska NSZZ „Solidarność”.

Bardzo aktywnie włączył się w obchody 25. rocznicy Poznańskiego Czerwca 1956 roku. Wspierał wtedy solidarnościowy komitet redakcyjny pierwszej, niezależnej monografii o tych tragicznych wydarzeniach, pod red. polonistów z UAM, doc. Zofii Trojanowiczowej i prof. Jarosława Maciejewskiego. Regularnie odwiedzał zespół artystyczny Teatru Nowego, gdzie wystawiono przełomową sztukę „Oskarżony: Czerwiec Pięćdziesiąt sześć” w reżyserii Izabelli Cywińskiej i według scenariusza Włodzimierza Branieckiego. Pierwszoplanową rolę Jana Suwarta grał tam Lech Łotocki. W stanie wojennym za ten spektakl Cywińska była internowana.

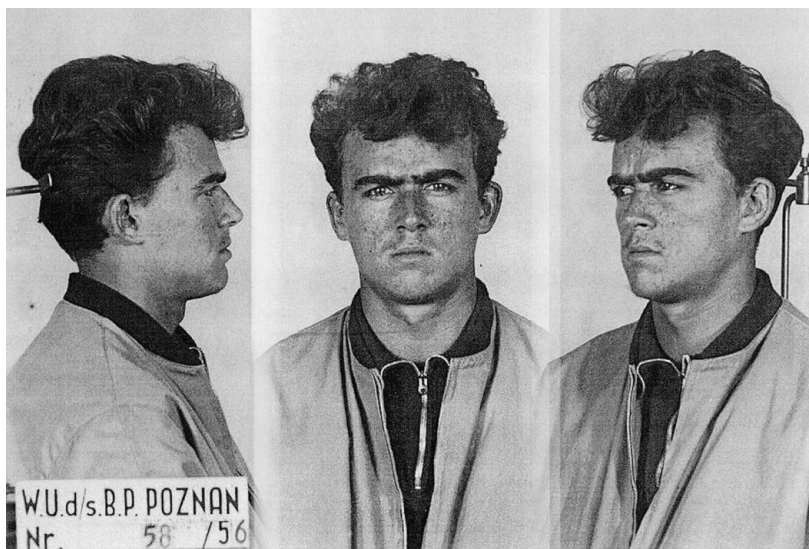
Po 13 grudnia 1981 roku ojciec ponownie znalazł się w rzeczywistości zwiększonych represji. W pierwszych tygodniach stanu wojennego konspiracyjnie przewoził paczki żywnościowe dla rodzin internowanych. Wprawdzie uniknął internowania, ale znów stracił pracę, a jego nazwisko znalazło się na listach osób niepożądanych.

Przez ponad dwa lata skutecznie blokowano jego ponowne zatrudnienie. Cały ciężar utrzymania rodziny spoczął na mojej matce, która także działała w Solidarności w swoim zakładzie pracy oraz wspólnie z ojcem. Dopiero po latach dowiedziałem się, że tata chciał, żebyśmy wyjechali do Kanady. Rozmowy na ten temat prowadził, z tego, co wiem, w konsulacie amerykańskim w Poznaniu. W tej sprawie, ale pod innym pretekstem, zdołał też wyjechać do Berlina Zachodniego. Wszystko podobno było już załatwione, ale ostatecznie mama nie zgodziła się na emigrację. Nie chciała opuścić Polski.

Jak wyglądało jego życie w kolejnych dekadach PRL?

Ostatnie lata życia ojca upływały w cieniu długoletnich doświadczeń, zarówno osobistych, jak i historycznych. Wciąż pozostawał aktywny, gromadził dokumenty, porządkował materiały dotyczące wydarzeń z 1956 roku oraz ich późniejszych konsekwencji. Mimo dużej siły psychicznej

ków. Jestem niemal pewien, że ojciec cierpiał na zespół stresu pourazowego, będący konsekwencją komunistycznych represji. Dziś wiemy, że skutki takich doświadczeń mogą być dziedziczone. Kiedy miałem dziesięć lat, wróciłem ze szkoły i znalazłem w łazience ciało ojca. Wówczas nie mogłem jeszcze wiedzieć, jak bardzo to wydarzenie – połączone z całym rodzinnym



Jan Suwart FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

i moralnej, pogody ducha i energii, miał zniszczone zdrowie, przeszedł dwa zawały serca. 7 listopada 1989 roku zmarł nagle, w wieku 55 lat. Stało się to w szczególnym momencie – kilka miesięcy po wyborach czerwcowych i w czasie, gdy w Polsce rodził się nowy porządek polityczny. System, z którym przez całe życie był skonfrontowany, właśnie się kończył. Paradoks tej historii polega na tym, że nie doczekał pełnej zmiany, choć znalazł się już na jej progu.

Historia ojca przez długie lata była obecna w moim życiu w sposób, którego początkowo nie rozumiałem. Towarzyszyły mi różne trudności, lęki i stany, których źródeł nie potrafiłem nazwać. Dopiero po latach zacząłem dostrzegać, że niosę w sobie nie tylko własne doświadczenia, ale również skutki traum moich rodziców i dzied-

ziedzictwem cierpienia – wpłynę na kolejne dekady mojego życia.

Mówi pan o sprawach, które nie zakończyły się wraz z jego śmiercią. Ojciec do końca próbował wyjaśniać pewne wydarzenia związane z Poznańskim Czerwcem.

W ostatnich latach życia gromadził różne materiały dotyczące śledztw, zaginięć i niewyjaśnionych okoliczności śmierci uczestników Poznańskiego Czerwca. Kilka lat temu jeden z księży opowiedział mi wymowną historię. W listopadzie 1989 roku ojciec poprosił go o przechowanie zbioru dokumentów, które uważał za szczególnie ważne. Do spotkania jednak nie doszło. Ksiądz czekał na ojca, który nie przyszedł, a na drugi dzień otrzymał wiadomość o jego nagłej śmierci. Dokumenty zniknęły. Nigdy ich nie odnalazłem.

Wydarzenia z 1956 roku pozostawały obecne w jego życiu do samego końca...

Dla ojca Poznański Czerwiec nigdy się naprawdę nie skończył. Nie zakończył go ani proces, ani późniejsze uniewinnienie, o którym zresztą nie wiedział aż do 1981 roku, ani zmiany polityczne lat 80. Przez całe lata nosił w sobie pamięć tamtych wydarzeń. Przede wszystkim zaś był do końca życia prześladowany przez SB i aparat PRL.

Czy miał pan poczucie, że ojciec domknął swoje sprawy? Czy zostawił coś, co można uznać za niezamknięte? Z perspektywy czasu mam wrażenie, że wiele spraw pozostało otwartych. Wspominałem już o zbiorze dokumentów, które miał przekazać w ostatnich tygodniach życia.

IPN pośmiertnie uznał go za pokrzywdzonego i umożliwił mi już wiele lat temu dostęp do dokumentów na jego temat. Dopiero w 2009 roku polskie państwo symbolicznie uhonoroowało ojca – prezydent Lech Kaczyński przyznał mu pośmiertnie Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, a w 2016 roku Rada Miasta Poznania nazwała jego imieniem skwer w centrum miasta. Ani moja mama, ani ja nie mieliśmy i nie mamy jednak możliwości uzyskania żadnej pomocy finansowej, np. na terapię potraumatyczną. Mama mogłaby się starać o taką pomoc, gdyby była wdową. Ale nią nie jest, paradoksalnie przez SB, która utrudniała ojcu rozwód z pierwszą żoną, mimo że ona się na rozwód godziła. Rozwód zapadł we wrześniu 1989 roku i zaraz potem ojciec zmarł, mając 55 lat – rodzice nie zdążyli się pobrać, mimo że byli rodziną przez ponad 11 lat. Mama została sama, bez pomocy i bez rodziny: tylko raz, na Boże Narodzenie 1989 roku otrzymaliśmy choinkę od Solidarności. W zasadzie jedyną drogą do uzyskania zadośćuczynienia byłoby powództwo przeciwko państwu, co

przewiduje ustawa. Ojciec całe życie próbował porządkować pamięć – swoją i innych uczestników Czerwca '56, ale nie zdążył doprowadzić tego do końca. Uważam mimo wszystko, że nie wyjaśniono wielu okoliczności dotyczących tamtej zbrodni – elementów potencjalnej politycznej prowokacji, która doprowadziła do przelewu krwi, dokładnej liczby ofiar, nie

propagandy i zapomnienia. Ale równie ważne jest zrozumienie, że historia nie kończy się wraz z wydarzeniami politycznymi. Jeżeli trauma rzeczywiście działa w dłuższej perspektywie, to oznacza, że społeczeństwa potrzebują także procesu przepracowania doświadczeń – czegoś, co można nazwać zbiorową refleksją, a może nawet formą terapii historycznej i spo-

relacje uczestników Czerwca '56

Henryk Karoń, chirurg, lekarz Szpitala Miejskiego im. F. Raszei w Poznaniu

Pomiędzy godz. 19 a 21 do miasta wkroczyły regularne oddziały wojska. Grupa żołnierzy w pełnym rynsztunku bojowym wkroczyła także na teren szpitala. Rozmawialiśmy z nimi, przyjechali ze Śląska. Po drodze powiedziano im, że w Poznaniu wybuchły rozruchy proniemieckie i mają rozkaz bronić niepodległości Polski. Było coś przerażającego w tym, gdy trzech żołnierzy, dojrzałych ludzi, opowiadało między sobą, że to wszystko to robota agentów imperialistycznych, londyńskich sługusów I Wolnej Europy. W obliczu tych słów wszelkie komentarze o tym, jak dalece można było zniewolić umysły tych ludzi, wydają się być tylko pustym frazesem.

Michał Gerwel, lekarz

Nagle usłyszeliśmy zgrzyt gąsienic czołgu i z ul. Roosevelta wypadł czołg. Uciekliśmy do pobliskiej bramy. Czołg wbił ciężarówkę między krawężnik a stojący tam tramwaj. Następnie rozjechał ją. Wtedy w bramie rozległ się krzyk, że w ciężarówce były skrzynki z granatami i należy oczekiwać eksplozji. Jednak eksplozja nie nastąpiła. Wtedy jeden z mężczyzn zauważył, że czołg przejechał człowieka, który nie zdążył na czas odskoczyć do bramy. Inny mężczyzna wybiegł i zaczął pomagać rannemu.

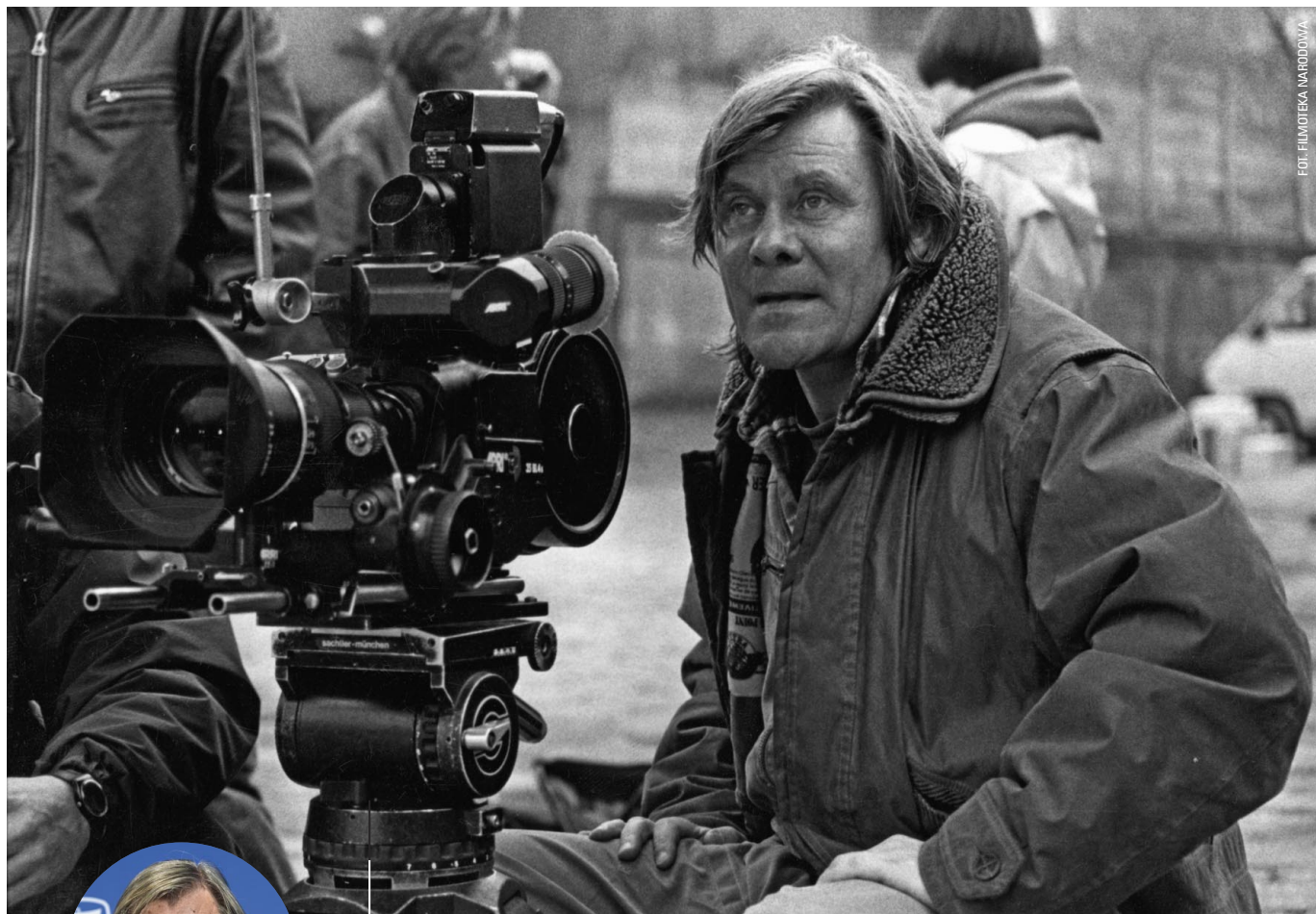
mówiąc już o wskazaniu i osądzeniu sprawców – zarówno z kierownictwa centralnego akcji, jak i sprawców poszczególnych zbrodniczych czynów, np. strzałów oddanych do bezbronych kobiet i dzieci z gmachu UB.

Pojawia się pytanie, które trudno pominąć: co z tą historią można dziś zrobić?

Na pewno potrzebna jest pamięć – rzetelna, nieuproszczona, wolna od

łączej. Dla mnie w dużej mierze nieświadomymi sposobami radzenia sobie z doświadczeniem traumy były: zainteresowanie Poznańskim Czerwcem 1956, przejawiane od najmłodszych lat, oraz podejmowane od ponad 20 lat działania na rzecz upamiętnienia jego zapomnianych bohaterów.

Rozmawiała
Katarzyna Zientara-Majewski



Filip Bajon FOT. PAP

Historia rodzi się z chaosu

Poznański Czerwiec '56 był dla mnie pierwszym spotkaniem z Historią i pierwszym momentem, w którym odkryłem, że tworzy się ona z chaosu – mówi Filip Bajon, reżyser filmu „Poznań 56”. Wybitny twórca opowiada o dziecięcej pamięci, godności robotników, niechęci do martyrologii, a także obrazach, które zostały w nim po tragicznych wydarzeniach: rozbijaniu komendy milicji, przewróconym tramwaju i śladach po kulach na murach poznańskich kamienic.

Czym dla pana był Poznański Czerwiec '56? Bunt robotniczym, wybuchem społecznej godności, tragedią miasta, pierwszym dużym pęknięciem w systemie komunistycznym?

W pytaniu jest zawarta sugestia odpowiedzi, a ja na tę sugestię panu nie odpowiem. Dla mnie Poznański Czer-

wiec '56 był po pierwsze – pierwszym spotkaniem z Historią. Po drugie – pierwszym momentem zauważenia, jak z chaosu tworzy się historia. I po trzecie – odpowiedzią na pytanie, co naprawdę było powodem tych wydarzeń. Otóż ich powodem było poczucie robotników, że nie są szanowani.

Niech pan pamięta, że w latach 30. robotnik w takim Cegielskim to był ktoś [w latach 1949–1956 dawne zakłady Cegielskiego nosiły nazwę Zakłady Przemysłu Metalowego im. Józefa Stalina – red.]. Miał swoją pozycję, swój autorytet, był człowiekiem godnym zaufania i wiedział, że coś zna-

czy. Komuniści tymczasem pokazali robotnikom, że są dosłownie nikim i że nie trzeba się z nimi liczyć. To za-negowanie godności robotniczej było prawdziwym powodem Poznania '56.

W polskiej kulturze często opowiada się o historii językiem martyrologii, jednak w filmie „Poznań 56” świadomie pan tego języka nie użył. Dlaczego? Nie użyłem języka martyrologii, ponieważ jest mi on obcy – nieprawdziwy i skłamany. Kiedy pojawia się martyrologia, bardzo szybko robi się z tego polityka i – co więcej – tworzy się fałszywe mity, które w konsekwencji uniemożliwiają zrozumienie

Ale jednocześnie byli ofiary, byli zabici, była też bezwzględna przemoc państwa. Jak mówić o ofiarach Czerwca '56 bez patosu, ale też bez odbierania tej historii dramatyzmu?

Trzeba mówić prawdę. Ale nie trzeba od razu budować z tego pomnika. Właśnie dlatego nie interesuje mnie martyrologia, bo ona bardzo często zasłania prawdziwe powody wydarzeń. A prawdziwym powodem było to, że ludzie poczuli się poniżeni. Robotnicy mieli poczucie, że odebrano im znaczenie, że ich praca przestała być szanowana, że państwo, które mówiło w ich imieniu, w rzeczywistości ich lekceważyło. Dramatyzm tej hi-

to robić. Uważałem, że jedyną właściwą perspektywą opowiedzenia Poznania '56 jest właśnie punkt widzenia dziecka. Sam to przeżyłem jako dziecko i myślę, że dzieci mają pewną szczególną umiejętność widzenia świata. Patrzą przez ten rodzaj dziecięcej naiwności, która jest niebywale świeża. Myślę, że im dłużej człowiek zachowuje taką naiwność, tym lepiej dla niego. To nie jest łatwe i nie jest automatyczne, ale oglądanie świata przez dziecko – przez jego naiwność, spostrzegawczość, dostrzeganie szczegółów – jest niezwykle istotne. Dziecko nie porządkuje jeszcze świata gotowymi pojęciami politycznymi, lecz widzi obrazy, słyszy dźwięki, zauważa sytuacje, które dorosłemu mogą umknąć.

To także sposób na ucieczkę od gotowej interpretacji historycznej?

Proszę zwrócić uwagę, że dziecko nie ma jeszcze gotowego języka, którym mogłoby te wydarzenia natychmiast nazwać. Nie mówi: bunt robotniczy, kryzys systemu, represja państwa. Ono widzi, że coś się stało. Widzi ruch ludzi, strach, napięcie, przypadkowość, chaos. Widzi też konkretny detal, szczegóły danego wydarzenia i właśnie ta świeżość spojrzenia była i wciąż jest dla mnie bardzo ważna, bo nie ma nic wspólnego z gotową interpretacją historyczną.

W pana filmie historia rodzi się w chaosie – na ulicy, podwórku, między przypadkowymi ludźmi. Jest choćby apokaliptyczna scena z wielbładami, które uciekły z zoo. Co to znaczy, że historia rodzi się z chaosu?

Historia rodzi się z chaosu. To, co dane wydarzenie będzie znaczyło, mówią dopiero upływające lata. Samo wydarzenie nie zaczyna się od tego, że wszyscy mają gotowy, racjonalnie sformułowany przekaz społeczny. Oczywiście robotnicy wiedzieli, że dostają za mało pieniędzy, że są oszukiwani

FOT. FILMOTEKA NARODOWA



wydarzeń z przeszłości. Zawsze byłem przeciwny jakiegokolwiek bohaterstwa i jakiegokolwiek martyrologii. Poza tym to, co wydarzyło się w Poznaniu przed 70 laty, nie rozgrywało się na tym poziomie męczeństwa. To rozgrywało się na zupełnie innym piętrze – na poziomie odzyskiwania dla siebie godności. Godności człowieka i godności zawodu, który robotnicy w Cegielskim wykonywali. Ta praca dawała im poczucie wielkiej dumy. Ja znałem robotników z Cegielskiego i to byli rzeczywiście dumni i mądry ludzie.

stории nie polega tylko na tym, że padły strzały i że zginęli ludzie. Polega także na tym, że władza wystąpiła przeciw tym, na których rzekomo miała się opierać. Przeciw robotnikom. Przeciw ludziom pracy. To było bardzo zasadnicze pęknięcie.

Miał pan wtedy dziewięć lat. W „Poznaniu 56” wydarzenia oglądamy z perspektywy dzieci. Dlaczego zdecydował się pan właśnie na taki punkt widzenia?

Kiedy przeczytałem nowelę filmową Andrzeja Górniego, napisaną z punktu widzenia dziecka, wiedziałem, że chcę

przez komunistów. Ale nie wychodzą z gotowym programem, lecz wychodzą pod wpływem emocji. Dopiero później okazuje się, co to wydarzenie znaczy w historii. Na początku zawsze jest chaos. Tak jest z rewolucją, z buntami, z wielkimi wydarzeniami społecznymi. Gdy mówimy dziś o rewolucji październikowej, wiemy, czym się stała, do czego doprowadziła. Ale w momencie, w którym się dzieła, wielu ludzi nawet nie miało świadomości, że uczestniczy w czymś, co później zostanie nazwane historycznym przełomem. Każde wydarzenie historyczne, żeby się zdarzyło, najpierw musi powstać jako sytuacja chaotyczna.

Czy właśnie tak zapamiętał pan tamten Poznań – jako miasto, w którym nagle ginie codzienny porządek?

Tak, to było tego rodzaju doświadczenie. I to właśnie dziecko może zobaczyć bardzo mocno, ponieważ dziecko żyje w świecie codziennych rytuałów, ulic, podwórek, znajomych tras. Gdy nagle ten świat zaczyna zachowywać się inaczej, to jest niezwykle silne przeżycie. Wielka historia nie przychodzi wtedy jako hasło w podręczniku. Ona pojawia się jako obraz, ruch, hałas, niepokój.

Widzowie często zastanawiają się, co w takim filmie jest obrazem naprawdę zapamiętanym przez świadka, a co zostało później dobudowane przez wyobraźnię, rozmowy, dokumenty i relacje innych ludzi. Pan był jednocześnie świadkiem i twórcą. Ciekawe jest to, czy potrafi pan wskazać scenę, którą widział pan na własne oczy?

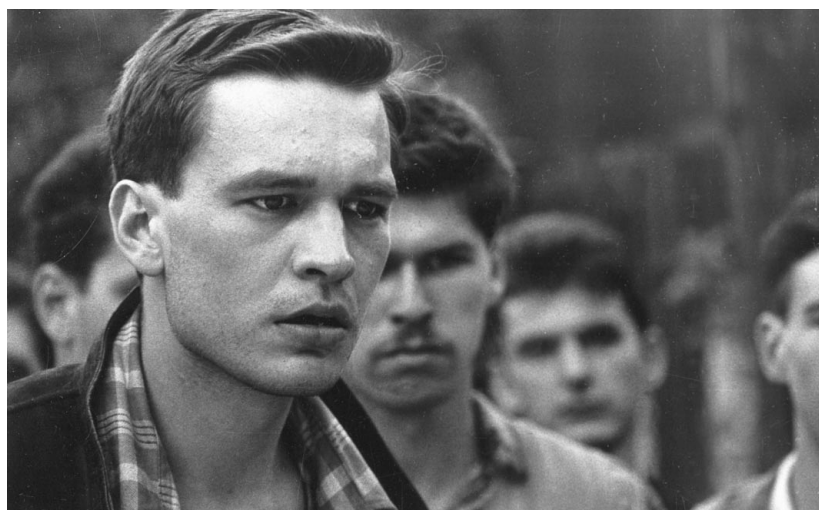
Tak. To jest rozbrajanie komendy milicji. Widziałem to na własne oczy na ulicy Grunwaldzkiej w Junikowie. Później poznałem pana Rybaka, który był na tej lorze [typ samochodu ciężarowego z platformą – red.], którą przyjechali protestujący i rozbrajali milicję. Ja to widziałem, a potem dowie-

działem się, kim był ten człowiek. Był bardzo miły i sprzyjał mi przy robieniu filmu. Był uczestnikiem tych wydarzeń, ale oczywiście należy pamiętać, że film nie jest prostym zapisem pamięci. Ponadto, co bardzo istotne, przy tym filmie pracowałem razem z Andrzejem Górnym, który także brał udział w Czerwcu i podczas tych wydarzeń stracił oko. Z całą pewnością

Przede wszystkim dawało filmowi wewnętrzne zakorzenienie w doświadczeniu uczestnika. Ja miałem pamięć dziecka. On miał pamięć człowieka, który brał w tym udział i zapłacił za to bardzo wysoką cenę. Ta obecność była bardzo ważna. Dzięki temu film nie był tylko moją rekonstrukcją ani tylko moim wspomnieniem. Był spotkaniem różnych pamięci.



FOT. FILMOTEKA NARODOWA (2)



jego doświadczenie wносиło do tej historii coś innego niż moja dziecięca pamięć. Film powstawał więc z pamięci, z rozmów, z wyobraźni, ale też z dokumentów i z doświadczenia ludzi, którzy byli w środku tych wydarzeń.

Co doświadczenie Andrzeja Górnego zmieniło w konstrukcji filmu?

Często mówi pan o szczególnym charakterze Poznania – o jego mieszczańskości, powściągliwości, etosie pracy. Czerwiec '56 wyrósł właśnie z tego poznańskiego charakteru?

Poznań jest jedynym mieszczańskim miastem w Polsce. Zawsze to podkreślałam. Kraków jest miastem bardziej kościelnym, ceremonialnym, innym.

Poznań ma charakter mieszczański w głębokim sensie – liczą się tu praca, porządek, odpowiedzialność, godność zawodu, poczucie, że człowiek coś znaczy, bo solidnie wykonuje swoją pracę. Dlatego nie powiedziałbym, że Czerwiec '56 był po prostu buntem przeciw władzy i opresyjnemu państwu. To był bunt – jeśli używamy tego słowa – którego celem było przywrócenie ważności i godności pracy oraz godnego wynagrodzenia za tę pracę. Chodziło o przywrócenie pewnych wartości, na które robotnicy byli bardzo uwrażliwieni.

Czyli nie tyle abstrakcyjna polityka, ile bardzo konkretne doświadczenie poniżenia?

Tak, ponieważ nie był to bunt przeciwko komunizmowi rozumianemu abstrakcyjnie, lecz reakcja na konkretną praktykę władzy: lekceważenie ludzi, którzy mieli poczucie własnej wartości i znaczenia. Powtarzam: system naruszył nie tylko ich interes ekonomiczny, ale także porządek społeczny, w którym praca dawała człowiekowi rangę.

W polskiej pamięci mamy kilka wielkich dat: Poznań '56, Grudzień '70, Sierpień '80, stan wojenny. Czy pana zdaniem Czerwiec '56 został w Polsce dobrze opowiedziany i zrozumiany?

Uważam, że wydarzenia w Poznaniu w 1956 roku były bardzo ważne dla całego komunistycznego obozu. W jakiś sposób prowokowały także wydarzenia na Węgrzech. Mimo że trwały krótko, dla Polski były niezwykle ważne. Dały robotnikom poczucie siły, które później objawiło się w 1970 i w 1980 roku. Jeśli chodzi o Sierpień '80, byłem w stoczni w Gdańsku, widziałem to, rozmawiałem z robotnikami. Bardzo mnie to wzruszyło, ponieważ było to zdarzenie niezwykle silne wizualnie i emocjonalnie, pełne napięcia, bo nie było wiadomo, jak się skończy.

Stan wojenny odbierałem inaczej.

Wróciłem dzień wcześniej z Ameryki i pamiętam rozmowę z Jerzym Andrzejewskim. Jerzy powiedział do mnie: „Zobacz, Filip, nawet stan wojenny potrafili spieprzyć”. Miałem do stanu wojennego stosunek trochę jak do teatru absurdu, choć oczywiście należy pamiętać o tym, że była to zbrodnia, że ginęli ludzie. Poznań '56 jest inny. Jest wcześniejszy, bardziej

Ciekawy jestem pana odpowiedzi na pytanie, czy dzisiaj w Polsce potrafimy jeszcze zrozumieć, czym była odwaga ludzi wychodzących na ulicę w państwie, które mogło zabić?

Trudno powiedzieć. Perspektywa czasu zmienia wszystko. Wydaje nam się czasem, że żyjemy w zupełnie innej rzeczywistości, ale pewne schematy się powtarzają. Powtarzają się też na-

relacje uczestników Czerwca '56

Stanisław Bartkowiak, student stomatologii

Spora grupa ludzi usiłowała przewrócić stojący na skrzyżowaniu tramwaj przy pomocy doczepionej do zbieraka liny. Rozkołysany tramwaj nie chciał się przewrócić. Niebawem użyto do tego celu przygodnej ciężarówki. Kierowca nie chciał opuścić kabiny, został więc oszołomiony butelką od piwa. Za sterem usiadł inny kierowca, wprowadził samochód w ulicę Mickiewicza, po czym, cofając się, zbliżył się do tramwaju. Teraz linę przyczepiono do ciężarówki. Chodziło o stworzenie w tym miejscu barykady przeciwzołgowej, by w ten sposób chronić dwa czołgi, które były w rękach cywilów

pierwotny. To nie jest jeszcze wielka, rozbudowana samoświadomość polityczna. To jest moment, w którym robotnicy poczuli własną siłę, ale źródłem tego była godność pracy.

Czy przez to Czerwiec '56 bywa niedoceniony? Bo późniejsze wydarzenia miały już silniejsze symbole, większą dokumentację, bardziej rozpoznawalne obrazy.

Możliwe. Czerwiec trwał krótko, a historia często lubi długie procesy, wielkie narracje, przywódców, programy, manifesty. Poznań był gwałtownym wybuchem. Ale właśnie dlatego jest tak ważny. Pokazał, że w systemie komunistycznym może dojść do otwartego wystąpienia robotników przeciwko władzy, która mówiła, że jest władzą robotniczą. To miało ogromne znaczenie.

pięcia: między człowiekiem a instytucją, między godnością a lekceważeniem, między pracą a poczuciem, że ktoś tę pracę odbiera jako nieważną. Oczywiście dzisiejszy świat jest inny, ale niektóre mechanizmy pozostają czytelne.

Gdyby miał pan wskazać jeden obraz, jedno zdanie albo jedną emocję, które powinny zostać w pamięci po Czerwcu '56, co by to było?

To są obrazy. Komenda, rozbrajanie milicji. Zrzucanie urządzeń zagłuszających z budynku ubezpieczalni. Przewrócony tramwaj, który wykorzystałem w filmie. I dużo dziur po strzałach na murach poznańskich, mieszczańskich kamienic.

**Rozmawiał
Norbert Nowotnik**

Artykuł ilustrowany kadrami z filmu Filipa Bajona „Poznań 56”



TEKST | Waldemar Kowalski

Odrąbiemy wam ręce!

Walka z pamięcią o Poznańskim Czerwcu

Komunistyczna propaganda jak mantrę powtarzała, że państwo reprezentuje interesy robotników. Tymczasem 70 lat temu na ulicach Poznania przeciwko władzy ludowej wystąpili ci, którzy mieli być jej najwierniejszym zapleczem społecznym.

Sam fakt buntu robotników podważał fundament ideologiczny systemu. Jeszcze zanim ucichły echa masakry, rozpoczęła się więc zakrojona na szeroką skalę operacja propagandowa, której celem było narzucenie społeczeństwu odpowiedniej interpretacji krwawych wydarzeń.

Cyrankiewicz grzmi w eterze

Krwawe wydarzenia sprzed 70 lat były dla władz PRL ogromnym szokiem. Specjaliści od propagandy robili więc wszystko, aby przekonać „zwykłych” obywateli, że skoro państwo robotnicze działało w interesie robotników, to nie mogli oni wystąpić przeciw niemu z własnej inicjatywy.

Aby uspokoić nastroje społeczne, konieczne było jak najszybsze wskazanie i ukaranie „winnych” tej dramatycznej sytuacji. Kierownictwo partyjne zdecydowało, że odpowiedzialnością za rozlew krwi należy obarczyć nie zbuntowanych ludzi pracy, lecz bliżej nieokreślonych „wrogów socjalizmu”.

Już nazajutrz po tragedii, 29 czerwca, w przemówieniu radiowym premier Józef Cyrankiewicz grzmiał o „odrabianiu rąk” wszystkim, którzy przyczynili się do eskalacji ulicznego konfliktu: *Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej, niech będzie pewny, że mu tę rękę władza ludowa odrąbie w interesie klasy robotniczej, w interesie chłopstwa pracującego i inteligencji, w interesie walki o podnoszenie stopy życiowej ludności, w interesie dalszej demokratyzacji naszego życia, w interesie naszej Ojczyzny* – przekonywał.

Komunistyczny premier wspominał na falach Polskiego Radia o „obalamuconych jednostkach”, które ostrzeliwały „strażników porządku i spokojną ludność” z karabinów maszynowych... *A robotnicy? Poparli*



oczywiście władzę ludową, „swoją” władzę – tłumaczył stanowczo szef komunistycznego rządu. *Ta zbrodnicza prowokacja* – przekonywał – *miała wstrząsnąć sumieniem każdego uczciwego poznaniaka, każdego Polaka, i którą społeczeństwo z całych swoich sił stanowczo potępia.*

Jak wyjaśniał, miejsce i czas wybrano nieprzypadkowo – właśnie trwała wielka impreza, jaką były XXV Międzynarodowe Targi Poznańskie. Z tej okazji do stolicy Wielkopolski przyjechało wielu gości z za żelaznej kurtyny.

Przelana krew – kategorycznie oznajmiał – „obciążyła wrogie Polsce ośrodki imperialistyczne i reakcyjne podziemie, które są bezpośrednimi sprawcami zająć”.

– I o ile robotnicy Poznania mieli niewątpliwie na celu przedstawienie swych postulatów, co jest ich prawem – to prowokatorzy i agenci imperialistyczni mieli na oku coś zupełnie odwrotnego. Chcą przeszkodzić w realizacji postulatów (...) i chcieliby wywołać anarchię, która przeszkodziłaby także postępującym procesom demokratyzacji naszego życia. Tego imperialistyczni agenci boją się najbardziej – stwierdził Cyrankiewicz.

Krew i dolary

Na zebraniu Biura Politycznego, zorganizowanym dzień po masakrze, zdecydowano o pośmiertnym odzna-

Jakkolwiek interpretować te wypadki, są one tragicznym skutkiem i rozpaczliwym aktem nędzy robotników. Tej krwi przelanej nie zmyją żadne slogany o wrogiej agenturze

czeniu „poległych w walce z bandytami żołnierzy i pracowników bezpieczeństwa” (w czasie zamieszek zginęło czterech żołnierzy, trzech funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa oraz jeden milicjant). Zalecono też zorganizowanie w większych fabrykach zebrań pracowników, których zobowiązano do potępienia buntu w Poznaniu.

Rezolucję w tej sprawie przyjęli naukowcy zatrudnieni w Instytucie Historii PAN. W dokumencie z 30 czerwca napisano o wykorzystaniu ekonomicznego strajku do „zbrodni poli-

tycznej”. Podkreślono też, że *milicja, bezpieczeństwo i wojsko nie ponoszą winy za krew przelaną w Poznaniu.*

– Żądamy ukarania zbrodni, dywersji i prowokacji z całą surowością prawa. Potępiamy tych, którzy stracili polityczne rozeznanie i dali się użyć za narzędzie ludziom zainteresowanym w zakłóceniu spokoju w Polsce i przekreśleniu procesu odnowy naszego życia. Krew przelana w Poznaniu obciąża wrogów narodu polskiego budującego socjalizm – napisali sygnatariusze rezolucji.

Istotną rolę w kampanii dezinformacyjnej odegrała prasa. Już same tytuły artykułów mówiły wiele o kierunku propagandy. Czytelnicy mogli przeczytać m.in. teksty: „Polska klasa robotnicza odgradza się od zdrajców, morderców i prowokatorów”, „Krew i dolary”, „Macki szpiegowskie wywiadu amerykańskiego sięgają do Poznania” czy „Zbrodnicze ręce”.

– Prasa interpretuje te tragiczne wydarzenia jako zorganizowaną akcję wrogiego wywiadu. Argumentem jest to, że w Poznaniu odbywają się Międzynarodowe Targi oraz to, że tego samego dnia przybył do Warszawy sekretarz ONZ (...). Jakkolwiek interpretować te wypadki, są one tragicznym skutkiem i rozpaczliwym aktem nędzy robotników. Tej krwi przelanej nie zmyją żadne slogany o wrogiej agenturze. Oto żniwo, jakie zbiera socjalizm i rząd robotniczy wraz z partią – pisał Jerzy Zawieyski w „Dzienniku”.

Państwową narrację dotyczącą Poznańskiego Czerwca wsparł oczywiście rozbudowany aparat represji. W służbowych raportach UB, MO i KBW demonstranci przedstawiani byli jako „rozbestwione tłumy”, „chuligani”, „przestępcy” i „bojówkarze”. Funkcjonariusze pisali o pijanych uczestnikach protestów, rabowaniu kiosków, terroryzowaniu mieszkańców oraz działalności tajemniczego „sztabu podziemnego”, który miał kierować całym wystąpieniem.

Gierek na tropie „prawdy”

Na czele komisji badającej przyczyny, przebieg i charakter dramatycznych wydarzeń stanął Edward Gierek, były sekretarz KW PZPR w Katowicach, członek Komitetu Centralnego partii.

Na tajnej naradzie z 7 lipca 1956 roku towarzysz Gierek przekonywał, że źródła „kryzysu poznańskiego” należy szukać za granicą. – *Jedno jest niezaprzeczalne, że wydarzenia poznańskie miały charakter wrogiej, charakter antyludowej dywersji i prowokacji politycznej* – obwieścił na zebraniu Gierek. *Było to – przekonywał – działanie dobrze przygotowane i przeprowadzone, obliczone na całkowity paraliż miasta.*

– *Nie ulega chyba wątpliwości, że celem tych akcji było zmanifestowanie wobec zagranicy i kraju faktu istnienia sił oporu i kraju. Tak się przy najmniej nasuwa. Jak również aktywizacja podziemia, no i próba oddzielenia mas pracujących od władzy. (...) Wydaje się, że prowokatorom chodziło również o to, aby wywołać w Polsce nastroje przeciwko władzy ludowej, nastroje antyrządowe, a także o to, aby zajścia poznańskie stały się przeszkodą na drodze odprężenia międzynarodowego.*

O tym, że inspiracja do strajku przyszła z zagranicy, świadczyło według Gierka przygotowanie broni i sprawne jej wykorzystanie na ulicach Poznania. – *W rannych godzinach 28 czerwca sprawnie zorganizowani i uzbrojeni bojówkarze, [którzy] uzbrojeni w karabiny francuskie, w kije, w łomy, a były nawet wypadki, że w broń krótką, że te zorganizowali uzbrojone bojówki stosujące terror, prowokacje, zmuszały załogi fabryk do przerwania pracy i do wyjścia na ulicę.*

Zastanawiająca według Gierka była też obecność na ulicach miasta wielu fotografów zagranicznych, którzy – wyjaśniał szef komisji – „na wszystkie strony cykali te pochody”.

Gomułka zmienia ton

Jesienią 1956 roku sytuacja polityczna w kraju uległa zmianie – w wyniku tzw. odwilży październikowej władzę przejął Władysław Gomułka. Jednocześnie lat wcześniej przekonywał moskiewskich towarzyszy, że „władzy raz zdobytej komunisci nie oddadzą nigdy”. I choć zdania nie zmienił, musiał zmienić... taktykę.



FOT. EAST NEWS

Konieczne było, choćby częściowe, odejście od dotychczasowej wykładni dotyczącej wydarzeń sprzed kilku miesięcy. Towarzysz „Wiesław” miał być, rzecz jasna, symbolem „nowego otwarcia”, które niosło pozorną demokrację życia w PRL.

– *Robotnicy Poznania, chwytając za oręż strajku i wychodząc manifestacyjnie na ulice w czarny czwartek czerwcowy, zawołali wielkim głosem: Dosyć! Tak dalej nie można! Zawrócić*

z fałszywej drogi! Klasa robotnicza nigdy nie chwyciła się strajku jako oręża walki o swoje prawa w sposób lekkomyślny. Tym bardziej teraz, w Polsce Ludowej, rządzonej w jej imieniu i w imieniu wszystkich ludzi pracy, nie zrobiła tego kroku lekkomyślnie. Najwidoczniej przebrała się miara. A miary nigdy nie można przebierać bezkarnie. Robotnicy Poznania

nie protestowali przeciwko Polsce Ludowej, przeciwko socjalizmowi, kiedy wyszli na ulice miasta. Protestowali przeciwko złu, jakie szeroko zakrzywiło się w naszym ustroju społecznym i które ich również boleśnie dotknęło, przeciwko wypaczeniom podstawowych zasad socjalizmu, który jest ich ideą – grzmiał z mównicy podczas VIII Plenum KC PZPR Gomułka.

Jak dodawał, wielką naiwnością polityczną była nieudolna próba

przedstawienia tragedii poznańskiej jako dzieła tzw. imperialistów. – *Agenci i prowokatorzy zawsze mogą być i działać. Ale nigdy i nigdzie nie mogą decydować o postawie klasy robotniczej* – przyznawał pierwszy sekretarz.

Słowa te musiały wzbudzać zdumienie. Po raz pierwszy przywódca komunistycznego państwa publicznie zakwestionował oficjalną wersję wydarzeń, lansowaną jeszcze niedawno przez aparat władzy.

Według nowej wykładni robotnicy nie wystąpili przeciw socjalizmowi jako takiemu, lecz ich bunt był formą niezgody na „wypaczenia”. Tragiczny rozwój wydarzeń miał być konsekwencją błędów konkretnych osób, a nie systemu samego w sobie. Była to bardzo wygodna dla komunistów interpretacja. Pozwalała uznać słuszność części postulatów robotników, a jednocześnie ukazać siebie w roli trybunów ludowych, nie podważając przy tym fundamentów ustroju.

Ciszej o tej tragedii!

Rozwój takiej narracji nastąpił w czerwcu 1957 roku, w związku z wizytą Gomułki w Zakładach im. Hipolita Cegielskiego. Wizytę w „zbuntowanej” fabryce przedstawiono jako gest dobrej woli, który robotnicy przyjęli rzekomo z wdzięcznością i aplauzem. *Ukazanie się samochodu, którym przybywa na teren Zakładów „H. Cegielski” Władysław Gomułka powitane jest burzą braw* – relacjonowało „Życie Warszawy”.

Jak czytamy, szacowny gość z Warszawy wsłuchiwał się w problemy „zwykłych Kowalskich”, nie pomijając żadnych, nawet najmniejszych problemów i dylematów.

Jedno z najbardziej kłopotliwych pytań dotyczyło sposobu, w jaki należy uczcić ofiary dramatu sprzed roku. – *Zapytujecie mnie, w jaki sposób należy uczcić pamięć tych, którzy zginęli? Odpowiadam: w spokoju i powa-*

dze tak, jak się czci pamięć zmarłych w rodzinie. Wybierzcie delegacje i złożcie na grobach wieńce żałobne. Na wszystkich grobach. I na tych, gdzie spoczywają Wasi współtowarzysze pracy i na tych żołnierskich grobach, gdzie spoczywają pracownicy organów bezpieczeństwa i żołnierze Wojska Polskiego. Tamtych poległych zjednoczyła śmierć. Nas powinna jednoczyć

w ciszy i... budowania „lepszego” przyszłości.

Pierwszy sekretarz nie mówił już o prowokacji ani o imperialistycznych agentach. – W tym, co się stało w Poznaniu, widziałem tylko tragedię zaszłą między braćmi, a nie walkę przeciwstawnych sobie sił. I z tej tragedii nikomu nie wolno robić bohaterstwa. Zdarzają się nawet w rodzinach tra-

relacje uczestników Czerwca '56

Egon Naganowski, redaktor Polskiego Radia

Na wprost frontonu gmachu UB, na przeciwległym chodniku, stały trzy młode tramwajarki, trzymające poziomo przed sobą flagę-wstęgę o barwach narodowych. Ponadto, środkowa trzymała uniesioną i nieco postrzępioną chorągiew, przypuszczalnie podziurawioną przez kule. Druga dramatyczna faza zaczęła się z chwilą, gdy jedna z tramwajarek widocznie została trafiona i skuliła się, a druga podtrzymująca ją przy płocie, zaraz też lekko obwisała na tamtą, trzecia zaś uskokczyła.

Janina Bączkiewicz, telegrafistka na poczcie

Tłum był już rozgniewany i te transparenty, które mieli, zawiesili na drzwiach, za kłamekę. I staliśmy spokojnie, a UB zaczęło na nas lać wodę z węży. Staliśmy długo, aż nagle UB zaczęło do nas strzelać. Myśmy się tego nie spodziewali, szliśmy z gołymi rękami, oprócz transparentów i sztandarów narodowych nie mieliśmy nic na swoją obronę. Spadło to na nas jak grom z jasnego nieba. Ja byłam w największym ogniu, przy mnie została zastrzelona jakaś robotnica. Najgorsze, że z nami szło dziecko – bardzo dużo dzieci szło po bokach, ale razem z pochodem – taki chłopczyk, miał może jedenaście lat, też został zabity

świadomość i wola, aby z naszej rodzinnej tragedii która się rozegrała w Poznaniu, nie pozwolić wyciągać zysków rzeczywistym wrogom Polski Ludowej – apelował „Wiesław”.

Była to tylko pozornie łagodniejsza interpretacja kryzysu sprzed roku. Skoro Poznański Czerwiec był „tragedią rodzinną”, nie należało szukać winnych, upamiętniać bohaterów ani organizować manifestacji. Władza zaczęła jedynie do uczczenia zmarłych

giczne wypadki. I chociaż rodzina dotknięta takim nieszczęściem nigdy o nim zapomnieć nie może, to zawsze stara się jak najgłębiej zapuścić nad swoją tragedią żałobną kurtynę milczenia.

Towarzyszyla temu przestroga: – Na pobożowisku żerują nieraz szakale. Na czarnym poznańskim czwartku usiłuje żerować czarna reakcja. Te go żeru należy ją pozbawić. Należy przede wszystkim odrzucać wszelkie

jej usiłowania do wytworzenia szczeplin między klasą robotniczą a władzą ludową.

Powtórka z historii?

Największym zagrożeniem dla władz nie było samo wspomnianie o robotniczej rewolcie i przyznanie się do błędów czy wypaczeń, lecz oddolne, społeczne dążenie do publicznego upamiętnienia ofiar Poznańskiego Czerwca.

Już jesienią 1956 roku robotnicy zaczęli wysuwać postulaty budowy pomnika czy ufundowania tablic pamiątkowych. W Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego powstał nawet specjalny komitet przygotowujący obchody pierwszej rocznicy masakry.

Wobec tego typu doniesień i realnie – jak podkreślono – zagrożenia strajkiem, Służba Bezpieczeństwa błyskawicznie rozpoczęła pracę operacyjną. Inwigilowano najbardziej aktywnych robotników, przeprowadzano rozmowy ostrzegawcze, wzmacniano obserwację zakładów pracy i kontrolę korespondencji. Władze przygotowywały się nawet na możliwość użycia siły.

Dodatkową okolicznością, jaką należało wziąć pod uwagę, były odbywające się krótko przed rocznicą Międzynarodowe Targi Poznańskie. – *Wszystko, co się dzieje na targach, ma odbicie w mieście, i odwrotnie. Powodów do rozróbek będzie niemało i dlatego nie można mówić, że dla nas targi nie są problemem. Tegorocznymi targami będzie olbrzymie zainteresowanie w kraju i w świecie. Dlatego nie można dopuścić do najmniejszej awarii w czasie ich trwania* – mówił 7 czerwca 1957 roku, świadomy powagi sytuacji, pierwszy sekretarz KW PZPR Wincenty Kraśko.

Ostatecznie koncesjonowane przez reżim obchody odbyły się „bez ekscesów” – według scenariusza narzuczonego przez partię. Zamiast wielotysięcznych marszów zorganizowano oficjalne uroczystości z udziałem wy-

znaczonych delegacji – wszystko to oczywiście pod czujnym okiem funkcjonariuszy SB.

Pamięć, której nie dało się zabić

W kolejnych latach rządzący zrezygnowali z organizacji uroczystości rocznicowych, a temat Poznańskiego Czerwca usunięto z mediów.

W trzecią rocznicę tej komunistycznej zbrodni zastępca komendanta wojewódzkiego MO ppłk Jan Pieterwas raportował: *Nie zanotowano na temat „rocznicy” żadnych wypowiedzi, przejawów chęci urządzenia zbiorów pieniężnych na kwiaty czy*

Najpierw robotniczy bunt przedstawiano jako dzieło szpiegów, prowokatorów i kryminalistów. Następnie uznano go za efekt błędów politycznych. W końcu próbowano zamknąć go w formule „rodzinnej tragedii”

wieńce, wystania delegacji na cmentarz itp. Groby zabitych w czasie wypadków poznańskich odwiedziły wyłącznie najbliższe rodziny.

Jednocześnie reżim na bieżąco monitorował nastroje, wiedząc, czym grozi niekontrolowany wybuch społecznego gniewu. Obawa o powtórkę z historii towarzyszyła komunistom przez następne lata, m.in. w czasie kościelnych przygotowań do obchodów Milenium Chrztu Polski. Także po krwawej pacyfikacji rewolty grudniowej 1970 roku nad Poznaniem wisiała groźba strajku, z której doskonale

zdawano sobie sprawę na najwyższych szczeblach władzy.

W 1976 roku w warszawskim kościele św. Jacka odprawiono mszę św. w intencji „poległych w czerwcu 1956 roku robotników Poznania”. W niezależnych, podziemnych obchodach uczestniczyli wówczas późniejsi liderzy opozycji demokratycznej w PRL, którzy dostrzegali w poznańskim buncie początek długiej drogi prowadzącej do narodzin Solidarności.

Dopiero początek lat 80. stworzył warunki do budowy Pomnika Poznańskiego Czerwca 1956. Monument w kształcie dwóch potężnych krzyży odsłonięto na oczach wielotysięcznych tłumów w Poznaniu w 1981 roku, dokładnie w 25. rocznicę krwawej pacyfikacji.

– *Dlaczego tak właśnie określa się ludzi, którzy mają odwagę ratować ojczyznę, takim mianem jak chuligani, wicherzyciele, anarchiści lub co gorzej – męty społeczne. Tak właśnie, a nie inaczej mówiono o Poznaniu, o studentach i ostatnio o Wybrzeżu. Aż dziw, że właśnie nie kto inny, a właśnie to „dno społeczne” ma odwagę i sposób wskazania partii i rządowi, że „nie tędy droga”* – pytał na początku 1971 roku, świeżo po masakarze grudniowej, autor anonimowego listu przesłanego z Poznania do Polskiego Radia w Warszawie.

W przypadku Poznańskiego Czerwca propaganda poszła o krok dalej. Najpierw robotniczy bunt przedstawiano jako dzieło szpiegów, prowokatorów i kryminalistów. Następnie uznano go za efekt błędów politycznych. W końcu próbowano zamknąć go w formule „rodzinnej tragedii”, którą należało wspominać wyłącznie w ciszy. Niezależnie od tych działań cel pozostawał ten sam: zatrzeć prawdę i nie dopuścić do utrwalenia pamięci o pierwszym polskim wolnościowym zrywie po II wojnie światowej. ■



Mirosława Hetman
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Musieliśmy wyjść na ulice

Komuniści chcieli nas upodlić, ale zamiast lęku rósł we mnie bunt. Powtarzałam sobie, że nie wolno nam odpuścić. Nasza mała cegiełka z Radomia nie poszła na marne. Gdyby dzisiaj zaszła taka potrzeba, poszłabym znowu walczyć – podkreśliła Mirosława Hetman, uczestniczka radomskiego protestu w 1976 roku, członkini Stowarzyszenia Radomski Czerwiec 76.

Miała pani zaledwie 20 lat, gdy wybuchły protesty w Radomiu. Co skłoniło młodą kobietę do wyjścia na ulicę i włączenia się w robotniczy bunt?

Nienawiść do komuny i rządów, przez które byliśmy gnębieni. Wtedy nie można było głośno wypowiedzieć własnego zdania. Do tego dochodziły wszechobecna bieda, puste półki w sklepach, drożyzna i marne zarobki. Ludziom żyło się naprawdę bardzo ciężko. Słuchałam opowiadań rodzi-

ców oraz dziadków i to wszystko w człowieku narastało przez lata. Gdy ogłoszono kolejne podwyżki cen żywności, coś w nas pękło. Pojawiła się iskra, która sprawiła, że musieliśmy wyjść i zacząć działać, żeby w Polsce w końcu było lepiej. Chcieliśmy, aby nasze dzieci i wnuki nie musiały żyć w takich warunkach jak my. Wyszliśmy na ulicę protestować przeciwko podwyżkom, z żądaniem ich natychmiastowego zniesienia, ale jednocze-

śnie wśród ludzi panowała niesamowita radość. To było jak wielkie święto. Śpiewaliśmy i czuliśmy ogromną solidarność. Cieszyliśmy się, że w końcu możemy głośno powiedzieć, czego naprawdę chcemy.

Jak zapamiętała pani atmosferę 25 czerwca 1976 roku?

Wyszliśmy na ulicę z myślą o pokojowym proteście. Na początku w ogóle nie było mowy o niszczeniu mienia,

wybijaniu szyb czy kradzieżach. Chcieliśmy po prostu pójść pod budynek Komitetu Wojewódzkiego PZPR przy ulicy 1 Maja. Pragnęliśmy, aby ówczesny I sekretarz, Janusz Prokopiak, połączył się telefonicznie z Warszawą i doprowadził do cofnięcia tych drastycznych podwyżek. W tamtych czasach sytuacja materialna wielu rodzin była wręcz tragiczna – ludzie zarabiali zaledwie po 1800 czy 2500 złotych. Co więcej, rodziny były wtedy znacznie większe niż dzisiaj. Standardem było sześcioro lub siedmioro dzieci. W jednym lokalu gnieździł się rodzice razem z młodymi małżeństwami, bo dramatycznie brakowało mieszkań. Ludzie zajmowali wolne strychy i piwnice, żeby mieć jakikolwiek własny kąt – często bez prądu i bieżącej wody.

Nie zakładaliście, że dojdzie do jakichkolwiek starć?

Nie, absolutnie nikt o tym nie myślał. Jechaliśmy wózkami akumulatorowymi, z chorągiewkami, ze śpiewem i z autentyczną radością. Gdy dotarliśmy pod Dom Partii, tam również panowała wesoła atmosfera. Czekaliśmy na odpowiedź, ale ona nie nadchodziła. Tłumaczono nam, że sekretarz nie może dodzwonić się do Warszawy, ponieważ linie telefoniczne zostały zablokowane. Po prostu nas okłamywali. W końcu ludzie stracili cierpliwość i weszli do budynku. W środku okazało się, że gmach jest pusty – dygnitarze uciekli tylnymi wyjściami i odjechali samochodami. Kiedy robotnicy zobaczyli luksusy, o jakich nam się nawet nie śniło, oraz żywność niedostępną w zwykłych sklepach, wybuchł potężny gniew. Nasi rodzice musieli niesamowicie kombinować, żeby odłożyć cokolwiek i przygotować uroczyste święta, a tam półki uginały się od dóbr. Ludzie zaczęli wyrzucać to jedzenie przez okna, żeby pokazać zgromadzonemu tłumowi, jak naprawdę żyje partyjna władza. Emocje



Płonący budynek Domu Partii w Radomiu
FOT. EAST NEWS

sięgnęły zenitu, narastał bunt i ostatecznie podpalono budynek. Wtedy wkroczyło ZOMO, pojawiły się armatki wodne i gaz łzawiący. Zaczęliśmy uciekać i rozpraszać się po całym Radomiu. Milicja krążyła po ulicach „sukami” i wylapywała każdego, kogo popadło. Z opowiadań wiem, że te łapanki trwały przez kolejne trzy dni. Mnie zatrzymano jeszcze tego samego dnia.

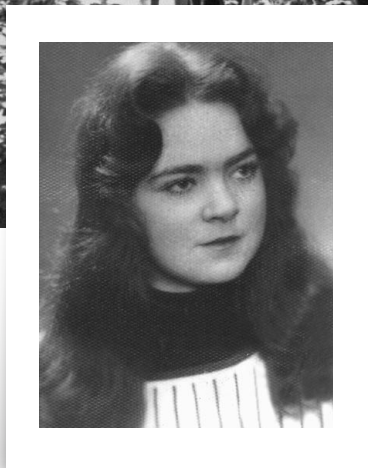
W jakich okolicznościach doszło do pani zatrzymania i co działo się po przewiezieniu na komendę?

W momencie, gdy ZOMO zaatakowało nas gazem, uciekałam bocznymi uliczkami. Najpierw schowaliśmy się u obcej kobiety, żeby przemyć oczy, bo od gazu zupełnie nic nie było widać. Potem dotarłam do domu. Mieszkałam przy ulicy Żeromskiego, która była i nadal jest głównym deptakiem Radomia. Wysłałam przed bramę, żeby zobaczyć, co się dzieje na mieście. Wtedy podbiegli do mnie koledzy i zaczęli krzyczeć: „Słuchaj, aresztują chłopaków, biją ich pałami i wywożą!”. Postanowiliśmy pójść pod komendę, która mieściła się wtedy przy ulicy Kilińskiego, gdzie obecnie znajduje się Urząd Miejski. Chcieliśmy zaprotestować i zapytać, dlaczego ich

zamykają – przecież wyszliśmy pokojowo walczyć o chleb, a nie po to, żeby kraść czy się bić. W tym całym zamieszaniu zostałam zgarnięta przez zomowców i przewieziona na komisariat.

W pokojach przesłuchań zobaczyłam krew i wyrwane włosy. Milicjantka, która miała mnie tylko przeszukać i odprowadzić do celi, od razu zaczęła mnie przesłuchiwać. Wyzywała mnie i obrażała. O dziwo, nie czułam wtedy strachu. W pewnym momencie nerwy mi puściły i prosto w oczy powiedziałam jej, co myślę. Była kompletnie zaskoczona, że młoda dziewczyna się nie boi i ma jeszcze odwagę wdawać się w pyskówkę. Za tę odzywkę założyła mi potem osobną sprawę karną.

Kiedy sprowadzono mnie na dół do piwnicy, moim oczom ukazały się stojące na korytarzu ławki, na których siedzieli zatrzymani chłopcy. Widok był potworny – byli zmasakrowani, skatowani, mieli powycinane pasy skóry razem z włosami. Z głów krew lała im się na ubrania, mieli połamane nosy, wybite zęby, a ich twarze były spuchnięte. Patrzyłam na nich i nie mogłam uwierzyć, że Polak potrafi zrobić coś takiego drugiemu Polako-



Mirosława Hetman, 1976 r.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Pracownicy radomskich zakładów
zgrupowani przed budynkiem KW PZPR FOT. PAP

doszczętnie zniszczony kręgosłup. Niedługo potem zmarł. To był młody chłopak, po prostu go wykończyli.

Za pyskówkę na komendzie groził pani kolejny proces. Jak ostatecznie potoczyły się te sprawy?

Najpierw, bez mojego udziału, Kolegium ds. Wykroczeń skazało mnie z racjonalnie na trzy miesiące aresztu za rzekomą „obrazę władzy w miejscu publicznym”. Z dołka przy ulicy Kilińskiego przewieziono mnie do więzienia na warszawskim Grochowie, gdzie odsiedziałam pełny wyrok – od dnia zatrzymania do 25 września. Pod koniec odsiadki dowiedziałam się jednak, że wracam do Radomia, bo czeka mnie kolejny proces przed regularnym sądem.

Okazało się, że milicjantka z komendy złożyła na mnie oficjalne doniesienie. Oskarżono mnie o obrazę funkcjonariusza na służbie za słowa, które wypowiedziałam w pokoju przesłuchań. Chcę mocno podkreślić, że ja wtedy nie kłęmam. W moim domu nie używało się wulgaryzmów, nie byłam nauczona takiego języka. Nie pamiętam już dokładnych słów, ale dla nich to wystarczyło. Za tę odzyw-

kę dostałam kolejny wyrok: cztery miesiące więzienia. Na szczęście sąd zawiesił karę, ale orzekł grzywnę – po podjęciu pracy miałam przez cztery miesiące oddawać 10 proc. pensji.

Splata grzywny wymagała legalnego zatrudnienia, a przecież uczestników protestów masowo wyrzucano z pracy...

Właśnie w tym tkwił cynizm tamtego systemu. Przed aresztowaniem pracowałam w Zakładach Metalowych. Kiedy wyszłam na wolność, naiwnie myślałam, że po prostu wrócę do swoich obowiązków – w więzieniu byłam odcięta od informacji i nie wiedziałam, co dzieje się w kraju. Na miejscu usłyszałam, że o powrocie nie ma mowy. Wręczono mi świadectwo pracy z karnym zwolnieniem. Wszyscy zatrzymani i biorący udział w strajkach dostali tzw. wilczy bilet, z którym żadne państwowe przedsiębiorstwo nie chciało nas przyjąć.

Miałam jednak ogromne szczęście. Przed czerwcowymi wydarzeniami leczyłam się u pewnej lekarki. Gdy dowiedziała się o mojej sytuacji, bez wahania zaoferowała pomoc. Pracowała w Spółdzielni Inwalidów „Nowe Życie” i dzięki swojej odwadze załatwiła mi tam etat. Po dziewięciu miesiącach bezrobocia w końcu dostałam pracę. To właśnie z tej pensji przez kolejne cztery miesiące potrącano mi 10 proc. wynagrodzenia tytułem grzywny.

Po wyjściu z więzienia spotkała się pani z solidarnością najbliższego otoczenia czy raczej ze strachem i ostracyzmem?

Wokół mnie wyzwoliła się niesamowita ludzka solidarność. Znajomi na ulicy ściskali mnie, całowali i gratulowali niezłomnej postawy. Otrzymałam ogromne wsparcie materialne, ale przede wszystkim psychiczne. To mnie podbudowało. Komuniści nas bili i chcieli upodlić, myśląc, że trwale nas zastraszą. W moim przypadku

osiągnęli jednak odwrotny skutek – zamiast lęku rósł we mnie jeszcze większy bunt. Powtarzałam sobie, że wyszliśmy na ulice, bo musieliśmy, i nie wolno nam teraz odpuścić, skoro proces zmian już ruszył.

Determinacja sprawiła, że szybko włączyła się pani w działalność opozycyjną.

Moja wola walki wzrosła jeszcze bardziej, gdy dowiedziałam się o powstaniu Komitetu Obrony Robotników, który niósł pomoc uwięzionym i ich rodzinom. Kontakt z opozycją złąpałam przez kolegę studiującego w Krakowie. On wraz z innymi studentami drukował podziemne ulotki i tzw. biuletę. Gdy dowiedział się o mojej odsiadce, przyjechał i zaproponował współpracę. Zgodziłam się bez wahania. Bogatsza o więzienne doświadczenia byłam już wtedy mądrzejsza. Wiedziałam, jak zachować ostrożność i że w domu nie wolno trzymać żadnych obciążających materiałów. A ta czujność była niezbędna, bo po wyjściu na wolność stałam się celem nieustannych nękań ze strony milicji.

Jak wyglądała inwigilacja?

Byłam pod stałą obserwacją. Pamiętam sytuację, gdy wpadł do mnie kolega i od progu zawołał: „Mira, masz milicję pod bramą!”. Rzeczywiście tam stali. Na szczęście mieszkaliśmy w starych radomskich kamienicach, które były połączone siecią strychów, piwnic i ukrytych podwórek. Esbecy nie mieli o tych przejściach pojęcia, a my znaliśmy je od dziecka. Gdy musiałam pilnie wyjść z domu, wymykałam się tymi tajnymi drogami. Oni pilnowali pustej bramy, nawet nie zauważając mojej nieobecności.

Mimo to bardzo często nachodzili moje mieszkanie. Robili niezapowiedziane rewizje, przetrząsali piwnice i strychy. W kółko pytali o nazwiska, adresy i powiązania. Zawsze odpowiadałam, że nic nie wiem. Kiedy do-

pytywali o ulotki, ze spokojem mówiłam, że spaliłam je w piecu. Oni szli i zaglądali do pieca. Czasami puszczały mi nerwy i z tej bezsilności obracałam ich groźby w żarty, co doprowadzało ich do szewskiej pasji.

Czy współczesna Polska to kraj, o który walczyliście w 1976 roku?

Kiedy patrzę na dzisiejszy Radom i całą Polskę, widzę różnicę jak między niebem a ziemią. Pamiętam daw-

Jest pani członkinią Stowarzyszenia Radomski Czerwiec '76. Dlaczego tak ważne dla was jest przekazywanie wiedzy młodemu pokoleniu?

Chcemy ocalić pamięć od zapomnienia i przekazać historię z pierwszej ręki, dopóki jeszcze żyjemy. Jesteśmy żywymi świadkami tamtych dni. Musimy to robić, żeby nikt w przyszłości nie przekreślał prawdy o Radomskim Czerwcu. Początkowo w naszym stowarzyszeniu, które w 2011 roku zało-



Członkowie Stowarzyszenia Radomski Czerwiec '76
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE MIROSLAWY HETMAN

ne, szare i biedne wsie, gdzie ludzie nie mieli grosza przy duszy. A dzisiaj? Mamy nowoczesny, piękny kraj. W sklepach jest wszystko, o czym kiedyś mogliśmy tylko pomarzyć – wchodzisz i kupujesz to, na co masz ochotę. Współczesna młodzież często tego nie rozumie, bo bierze to za pewnik.

Dla mnie wolność jest najważniejsza. Pamiętam naszą bezgraniczną radość, gdy wojska radzieckie w końcu opuściły Polskę. Płakałam wtedy ze wzruszenia, że nasza mała cegiełka z Radomia nie poszła na marne. Gdyby dzisiaj zaszła taka potrzeba – mimo że jestem już starszą i schorowaną kobietą – poszłabym walczyć znowu. Nie zastanawiałabym się ani chwili. Kiedy rozmawiam w szkołach z dziećmi, zawsze powtarzam: „Dbajcie o tę wolność i szanujcie ją, bo dzisiaj jest, a jutro może jej nie być”. To niezwykle ważne w tych niepewnych czasach.

Był Stanisław Kowalski, było 60 bezpośrednich uczestników zrywu. Dzisiaj zostało nas już tylko 21 osób. Po prostu odchodzimy.

Przez wiele lat po 1976 roku w ogóle się nie znaliśmy. To był temat tabu. Ludzie wstydzili się przyznać, że siedzieli w więzieniu, i bali się rozmawiać, bo to były niebezpieczne czasy. Dopiero stowarzyszenie nas zjednoczyło. Wiemy, że za kilkadziesiąt lat nikogo z nas już nie będzie. Dlatego bez względu na wiek i zmęczenie chętnie ходzimy do szkół. Chcę, aby młode pokolenie – nasze wnuki i prawnuki – usłyszało prawdziwą wersję wydarzeń. Sama gromadzę książki oraz zdjęcia i powtarzam bliskim, że zostawię im to wszystko na pamiątkę, by prawda przetrwała.

**Rozmawiała
Katarzyna Krzykowska**

Plecy sine od pałek, czyli „ścieżki zdrowia”

TEKST | Grzegorz Majchrzak

24 czerwca 1976 roku premier Piotr Jaroszewicz przedstawił w Sejmie „propozycję zmian struktury cen” w celu poddania ich „konsultacjom społecznym”. Były to jednak pozory, ponieważ decyzje o podwyżkach zapadły już wcześniej. I były one dotkliwe.

Objęły podstawowe produkty spożywcze – ceny mięsa i ryb miały wzrosnąć o blisko 70 proc., cukru o 90 proc., a ryżu – o 150 proc. Na reakcję zdesperowanych robotników nie trzeba było długo czekać – ich protesty, które wybuchły dzień później, objęły 112 zakładów pracy w 24 województwach, a udział w nich wzięło ponad 80 tys. osób.

Ludzie wychodzą na ulice

Najbardziej dramatyczny przebieg miały wydarzenia w Radomiu, Ursusie oraz Płocku. We wszystkich tych miejscowościach robotnicy wyszli po-

za mury swoich zakładów pracy. W Radomiu doszło do splądrowania i podpalenia Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Z kolei pracownicy Zakładów Mechanicznych „Ursus” zablokowali pobliskie tory kolejowe (zarówno podmiejskie, jak i dalekobieżne). W Płocku natomiast – po wiecu w Mazowieckich Zakładach Rafineryjnych i Petrochemicznych – ograniczono się do spokojnego przemarszu pod KW PZPR. We wszystkich tych miejscach doszło do interwencji milicji, tym razem jednak władze PRL – pamiętając nauczkę z Grudnia ’70 czy Czerwca ’56 – nie

zdecydowały się na użycie broni. Dzięki temu uniknięto masakry, jak na Wybrzeżu przed sześciu laty czy w Poznaniu niemal równo dwadzieścia lat wcześniej.

Rewanż ludowej władzy

Jednak – podobnie jak w przeszłości w stolicy Wielkopolski czy na Wybrzeżu – wzięto odwet na protestujących. Według oficjalnych danych w Radomiu zatrzymano 634 osoby, w Ursusie 72, a w Płocku kolejne 55. Z kolei w ocenie utworzonego 23 września 1976 roku Komitetu Obrony Robotników w tym pierwszym mieście

miało to być ponad trzykrotnie więcej (co najmniej 2 tys.), a w Ursusie niemal siedmiokrotnie więcej (około 500 osób). Część z tych osób aresztowano – według danych władz 239 osób, z czego 173 w Radomiu, 35 w Płocku – gdzie protestowano najspokojniej – i 31 w Ursusie. Część z nich stanęła przed kolegiami ds. wykroczeń, a 40 osób (25 w Radomiu, 7 w Ursusie i 18 w Płocku) przed sądami. Najsurowsze kary wymierzono niektórym radomianom – sięgały one nawet 10 lat więzienia. Ostatnich skazanych uwolniono na podstawie amnestii z lipca 1977 roku. Ponad tysiąc osób – głównie w Radomiu – wyrzucono „w trybie natychmiastowym” z pracy z tzw. wilczym biletem. W kraju zorganizowano też wiece, na których potępiano „warcholów” z Radomia i Ursusa. Jak podsumowywał Jacek Kuroń w liście do sekretarza generalnego Włoskiej Partii Komunistycznej Enrico Berlingauera: *Zrzucanie na uczestników demonstracji robotniczych odpowiedzialności moralnej i prawnej za szkody spowodowane wskutek niemożności dobrego zorganizowania przez nich demonstracji, nie ma nic wspólnego z praworządnością. Chodzi tu jedynie o odwet ze strony ludzi, którzy przez 30 lat rządzenia niczego się nie nauczyli i niczego nie zrozumieli.*

„Ścieżki zdrowia”

A ten odwet był często ślepy. W wielu przypadkach zatrzymano przypadkowe, Bogu ducha winne osoby – obowiązywało kryterium „brudnych rąk”, które rzekomo miały potwierdzać udział w protestach. Zarówno w Radomiu, jak i w Ursusie oraz Płocku scenariusz był podobny – po opanowaniu sytuacji (zakończeniu protestów) następowało regularne polowanie na ludzi. I, zwłaszcza w Radomiu, stosowano tzw. ścieżki zdrowia polegające na przepuszczaniu zatrzymanych przez szpaler milicjantów, którzy bili ich głównie pałkami, ale

również sprzączkami od pasów czy kluczami od samochodów, niekiedy do utraty przytomności. Dzięki działalności KOR, powołanego w celu niesienia pomocy robotnikom represjonowanym po Czerwcu 1976 roku i ich rodzinom, dokumentowano również, co niezwykle cenne „na gorąco”, represje i szykany, jakie dotykały osoby oskarżone o udział w protestach, głównie w Radomiu i Ursusie.

Milicyjne łapanki

W jednym z dokumentów dotyczących represji, które dotknęły pracowników Zakładów Mechanicznych „Ursus” i innych zakładów relacjonowano: „Około godziny 20.00 robotnicy

Przykleknął, wycelował z wyrzutni gazu i wystrzelił w moim kierunku. (...) Dostałem w kolano. Zabolało tak, że prawie straciłem przytomność. Zaraz potem nastąpiło bicie

wysłuchali przemówienia telewizyjnego premiera odwołującego podwyżkę i po przemówieniu zaczęli rozchodzić się do domów”, jednak „Wtedy właśnie oddziały milicji zaatakowały rozchodzących się używając petard, gazów łzawiących”. I – jak dodawano – „Oddziały MO rozpoczęły następnie w całym Ursusie łapanki połączone z brutalnym biciem ludzi znajdujących się na ulicy, głównie młodzieży. Umundurowane i nieumundurowane oddziały MO wylapywały ludzi w pobliżu terenu fabryki, na głównych ulicach miasta, a także na peryferiach Ursusa – często przypadkowych przechodniów. Zatrzymanych bito pałkami, kluczami od samochodów,



Wejście główne aresztu śledczego przy ul. Malczewskiego. Za okutymi drzwiami szpalery funkcjonariuszy ZOMO wraz ze służbą więzienną dokonywały „wstępnej resocjalizacji” aresztowanych robotników uczestniczących w proteście 25 czerwca 1976 r. FOT. OŚRODEK KARTA

sprzączkami od pasów, kopiąc – często do utraty przytomności. Akcja trwała do rana”.

Gdy „człowiek przestał istnieć”

Podawano również konkretne przykłady brutalności funkcjonariuszy, np. „robotnik wracający z żoną w zaawansowanej ciąży do domu, po odepchnięciu kobiety wepchnięty przemocą do samochodu” czy też „młody robotnik został w trakcie interwencji MO tak uderzony pałką, że pękła mu szczęka w dwóch miejscach”. Jak z kolei wspominał Andrzej Biel z Radomia, skazany przez kolegium ds. wykroczeń za rzekome rzucanie kamieniami w milicjantów na 2 miesiące aresztu oraz 2 tys. grzywny: *Na rogu ulicy zobaczyłem milicjanta. Stał około 10 metrów ode mnie. Przykleknął, wycelował z wyrzutni gazu i wystrzelił w moim kierunku. Bezcelnie, żeby mnie uszkodzić. Dostałem w kolano. Zabolało tak, że prawie straciłem przytomność. Zaraz potem nastąpiło bicie, pałowanie, polewanie wodą z armatek kogo się da, nawet kobiet z torebkami, zupełnie bezbronnych.*

Człowiek przestał istnieć, stał się obiektem do polowania. Z działek strzelali nawet ludziom do okien, jeżeli ktoś stał na balkonie.

Przy czym pobicie podczas zatrzymania było dopiero wstępem do dalszego katowania. „Po przewiezieniu

Zatrzymanych oskarżano o atakowanie milicjantów, nieusłuchanie rozkazu rozejścia się, demolowanie sklepów, wagonów. Większość oskarżeń była fałszywa



Manifestanci przed gmachem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Radomiu FOT. EAST NEWS

na komendę MO w Ursusie zatrzymani musieli przejść przez szpaler milicjantów bijących pałkami. Niektórych przepędzano przez szpaler dwukrotnie. Wewnątrz budynku znajdował się wydzielony pokój, do którego wpychano pojedynczo zatrzymanych. Tam kilku milicjantów biło delikwenta pałkami i kopało, a jeśli ktoś upadł kopano również leżącego. Znane są przypadki łamania żeber zatrzymanym”

– opisywano we wspomnianym wcześniej dokumencie opozycji. – Każdy z nas co najmniej jeden raz przechodził tzw. ścieżkę zdrowia tzn. kordon umundurowanych i cywilnych funkcjonariuszy, którzy bili i kopali przechodzących. Przy każdym transporcie wsiadając i wysiadając z samochodów byliśmy bici i kopani. W czasie przesłuchań zeznania od nas wymuszano torturami. Przebywając w więzieniu radomskim i w areszcie Komendy Wojewódzkiej MO byliśmy bici przez funkcjonariuszy MO i służbę więzienną – opisywało z kolei swoje przejścia kilkudziesięciu represjonowanych z Radomia w liście do prokuratora generalnego PRL Lucjana Czubińskiego.

Niekończące się bicie

Jeden ze współautorów tego listu – Stanisław Adamski – relacjonował w oddzielnym liście do Prokuratury Generalnej PRL bardziej szczegółowo bicie i znęcanie się nad nim: *Dnia 25 VI 1976 zostałem zatrzymany przez funkcjonariuszy MO na ul. Dzierżyńskiego między godz. 21.00, [a] 21.30. Zostałem bardzo pobity i kopany i przewieziony do wozu MO. Oprzytom-*

niałem następnego dnia – 26 VI [19]76 – w areszcie śledczym przy KW MO. Dnia 26 VI [19]76 zostałem przewieziony do Kielc na zamek, czyli do więzienia. Oczywiście bito mnie i kopano aż do nieprzytomności. Wieczorem tego samego dnia przewieziono mnie do Radomia do więzienia. Początki pobytu w Radomiu zaczęły się od ścięcia włosów bardzo tępym scyzorykiem. Później bito [mnie], kopano i ganiano z góry na dół więzienia (...) Po mniej więcej dwugodzinnej bijatyce wrzucono mnie do celi nieprzytomnego. Tak zwane ścieżki praktykowano nie tylko na komendach w Radomiu czy Ursusie, ale również w Białobrzegach, Grójcu, Przysusze czy Szydłowcu. Bito również w więzieniach (m.in. w areszcie śledczym na Rakowieckiej w Warszawie), w drodze na przesłuchania prokuratorskie czy podczas powrotu z nich...

Niemal natychmiast – już w niedzielę 27 czerwca – pracę rozpoczęły kolegia do spraw wykroczeń, które karały aresztami (w większości 3-miesięcznymi), grzywnami (najczęściej w wysokości 3–5 tys. zł, przy średnim wynagrodzeniu w 1976 roku w wysokości niespełna 4,3 tys. zł), a także karą odpracowania kilkudziesięciu godzin „społecznie”. Tak na marginesie początkowo przeważały grzywny, jednak szybko – po interwencji MSW – zaostrozono kary, skazując na areszt. Kolegia pracowały „pełną parą”, do późnych godzin nocnych. Przy czym sprawy przed nimi często były kompletną farsą. – *Zatrzymanych oskarżano o atakowanie milicjantów, nieusłuchanie rozkazu rozejścia się, demolowanie sklepów, wagonów. Większość oskarżeń była fałszywa. Świadczyli milicjanci, przeważnie zresztą nie ci, którzy zatrzymali oskarżonych, a rozprawy odbywały się w oparciu o pisemne zeznania nieobecnego świadka oskarżenia. Prawie wszyscy oskarżeni zostali skazani – stwierdzano w opisie akcji represyj-*

nych wobec pracowników ZM „Ursus” i innych zakładów.

Ludowa „sprawiedliwość”

Nieco inaczej rzecz wyglądała w Radomiu. – *W Radomiu, gdzie napływ spraw był większy, w wielu przypadkach rezygnowano nawet z tego i cała rozprawa sprowadzała się do przedstawienia sądzonemu orzeczenia do podpisu. Część z tych orzeczeń została następnie uchylona wskutek rewizji nadzwyczajnej ministra sprawiedliwości bądź wniosku Prokuratury Wojewódzkiej z powodu rażącego naruszenia prawa* – podsumowywali działacze KOR w liście otwartym do Sejmu PRL. Również rozprawy przed sądami miały niewiele wspólnego ze sprawiedliwością – wobec oskarżonych zastosowano zasadę odpowiedzialności zbiorowej, do skazania wystarczył np. fakt przebywania – nawet przez kilka minut – na ulicach Radomia w rejonie starć. Podstawą skazania – podobnie jak w przypadku kolegów ds. wykroczeń – były zeznania funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej.

To oczywiście nie koniec represji – kolejną było zwalnianie z pracy, najczęściej dyscyplinarne. Jak informowano w cytowanym powyżej dokumencie: „Z pracy wyrzucono przede wszystkim zatrzymanych. Akcja zwolnień objęła jednak szerszą grupę. Za podstawę usunięcia służyły zdjęcia wykonane przez milicję, zeznania niektórych kierowników i donosicieli. Naruszono przy tym w sposób rażąco uprawnienia robotników”. Jak dodawano: *Ponieważ 25 czerwca w Ursusie strajkowali prawie wszyscy, każdego można było wyrzucić, jeśli tylko nie podobał się kierownictwu lub komuś z bezpośredniego nadzoru. Nie tylko zresztą tych, którzy brali udział w protestach. Zdarzały się takie przypadki, jak rozwiązanie umowy o pracę z robotnikiem, który przebywał wtedy na urlopie wypoczynkowym i nie było go w pracy czy z innym będącym*

w tym czasie również nieobecny z powodu choroby...

„Wilczy bilet”

A zwolnienie oznaczało de facto pozbawienie źródeł utrzymania, gdyż jak dalej relacjonowano: *Wszyscy represjonowani robotnicy (a więc zarówno ci, którzy zostali jedynie usunięci z zakładu, jak i ci, których skazały kolegia) nie mogą nigdzie znaleźć pracy. Jest zakaz przyjmowania ich do zakładów państwowych, spółdzielczych, a nawet prywatnych (właścicielom grozi się odebraniem licencji). Warszawskie biuro zatrudnienia w ogóle nie podejmuje rozmów z robotnikami zwolnionymi z pracy po 25 VI. Zdarzały się wypadki wyrzucenia przyjętych uprzednio (mimo zakazu) robotników. Również wyrzuceni z pracy w Płocku – głównie pracownicy Mazowieckich Zakładów Rafineryjnych i Petrochemicznych – mieli, przez co najmniej kilka miesięcy, problem ze znalezieniem nowego zatrudnienia, a jeśli już je otrzymywali, to z niższym wynagrodzeniem i bez szans na awans. Tak na marginesie nie tylko robotnicy padli ofiarą represji. Jak opisywała – w liście do Amnesty International – Janina Nazimiek z Radomia, jej syn Krzysztof, który w trakcie przygotowań do egzaminów na uczelnię wyższą wyszedł na chwilę z domu, „żeby odprężyć się od nauki”, został zatrzymany, pobity (matka widziała tego ślady jeszcze miesiąc po pobiciu) i skazany, a w efekcie nie miał możliwości dostania się na studia.*

Na pomoc represjonowanym

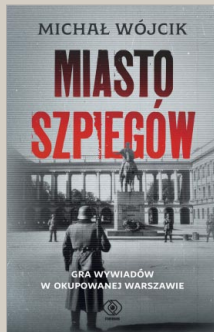
Represje spowodowały akcję pomocy dla represjonowanych oraz falę żądań pod adresem władz PRL. I tak np. 15 listopada 1976 roku Komitet Obrony Robotników zwrócił się do Sejmu PRL o powołanie poselskiej komisji do zbadania i publicznego ujawnienia represji stosowanych wobec uczestników czerwcowego protestu. Domagał się

przebadania i podania do publicznej informacji dot. „torturowania i innych form naruszenia prawa przez organa porządku publicznego” oraz rozmia-
rów zastosowanych represji (liczby zatrzymanych, aresztowanych, skazanych i zwolnionych z pracy). Jak przy tym argumentował: *Na 96 zbadanych przez nas przypadków zatrzymań w Radomiu i 94 w Ursusie, 93 osoby w Radomiu i 46 osób w Ursusie oświadczyły, że były bite, a ich rodziny i najbliższe osoby oświadczyły, że widziały ślady tego bicia. Oczywiście ani wnioski KOR, ani podobne apele czy listy nie spotkały się z pozytywnym odzewem.*

Nie tylko Radom, Ursus i Płock

Na koniec warto przypomnieć, że represje dotknęły nie tylko uczestników protestów radomskich, ursuskich czy płockich. Ludzi – jak wynika z danych Komitetu Obrony Robotników – wyrzucano z pracy również m.in. w Elblągu, Gdańsku, Łodzi, Nowym Targu, Pruszczu Gdańskim, Starachowicach czy Szczecinie. I nie były to pojedyncze przypadki, np. w Stoczni Gdańskiej im. Lenina na bruk wysłano 200–400 osób, z kolei w Fabryce Samochodów Ciężarowych w Starachowicach około 300 osób. Nie inaczej było też m.in. w Poznańskiej Fabryce Łożysk Tocznich, z której po zakończeniu strajku usunięto „głównych prowodyrów zajść” – łącznie 6 pracowników, ponadto z tego samego powodu z partii usunięto 2 osoby. Kolejnych 6 pracowników wyrzucono „za wprowadzenie zamieszania”, czyli strajk, w Fabryce Narzędzi Chirurgicznych „Chifa” w Nowym Tomyślu. Inna sprawa, że do dziś te represje – poza Radomiem, Ursusem i Płockiem – pozostają mało znane, a czasem wręcz jeszcze nie zostały opisane... ■

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN



Michał Wójcik

„Miasto szpiegów. Gra wywiadów w okupowanej Warszawie”

To książka, która pokazuje II wojnę światową z zupełnie innej perspektywy. Zamiast opowieści o wielkich bitwach dostajemy świat tajnych agentów, podwójnych gier, prowokacji i nieustannej walki wywiadów, w której jeden błąd mógł kosztować życie.

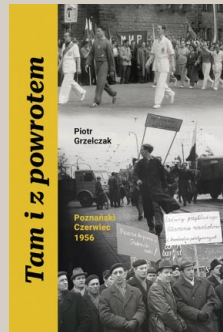
Autor zabiera czytelnika do okupowanej Warszawy lat 1942–1944 i odsłania kulisy działań, o których rzadko wspomina się w szkolnych podręcznikach. Już na początku zaskakuje informacją, że wśród osób uwolnionych podczas słynnej Akcji pod Arsenalem znajdował się tajny agent Gestapo. Czy Niemcy wiedzieli o planowanej akcji Szarych Szeregów? To tylko jedna z wielu historii, które skłaniają do spojrzenia na znane wydarzenia z innej strony.

Książka jest napisana z reporterskim wyczuciem – dynamicznie, konkretnie i bez zbędnych dłużyzn. Każdy rozdział przynosi nowe fakty, kolejne tajemnice i zaskakujące zwroty akcji, przez co książkę czyta się niemal jak rasowy thriller szpiegowski.

„Miasto szpiegów” to obowiązkowa lektura dla miłośników historii, zwłaszcza tych, którzy chcą odkryć mniej znane oblicze okupowanej Warszawy. Michał Wójcik po raz kolejny udowadnia, że prawdziwa historia potrafi być bardziej fascynująca niż najlepsza fikcja.

DG

Wydawnictwo Rebis, Warszawa 2025



Piotr Grzelczak

„Tam i z powrotem. Poznański Czerwiec 1956”

Książka poświęcona drodze prowadzącej do Poznańskiego Czerwca 1956 to znacznie więcej niż kolejna publikacja opisująca jeden z najważniejszych protestów w historii powojennej Polski. Autor podejmuje próbę ukazania szerszego kontekstu wydarzeń, cofając czytelnika do pierwszych miesięcy po zakończeniu II wojny światowej, gdy w Poznaniu rodziła się nowa, komunistyczna rzeczywistość. Konsekwentnie pokazuje, że czerwcowy bunt nie był spontanicznym i odosobnionym wybuchem społecznego gniewu. Przekonująco przedstawia proces narastania napięć, rozczarowań i konfliktów, które przez lata dojrzywały w cieniu propagandowych sukcesów „władzy ludowej”.

Obok opisu działań władz i mechanizmów funkcjonowania systemu komunistycznego odnajdujemy obraz codziennego życia mieszkańców Poznania, ich oczekiwań, obaw i nadziei. To właśnie ten ludzki wymiar sprawia, że opowieść nabiera autentyczności i emocjonalnej głębi.

Narracja nie zatrzymuje się na wydarzeniach czerwca 1956 roku. Równie interesująco analizuje ich następstwa oraz pokazuje, jak szybko komunistyczne władze powróciły do schematów, które wcześniej doprowadziły do społecznego wybuchu. W ten sposób Poznański Czerwiec zostaje ukazany jako ważny punkt zwrotny dla miasta i całej Polski Ludowej.

KZM

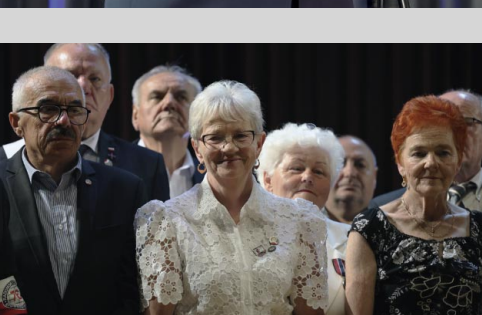
Wydawnictwo Miejskie Poznań 2026

Droga do wolności zaczęła się w czerwcu

25 czerwca 2026 r. w Ursusie odbyła się konferencja historyczna „Droga do wolności zaczęła się w Czerwcu '76”, połączona ze spotkaniem ze świadkami wydarzeń sprzed 50 lat.

W konferencji uczestniczył szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Lech Parell, który akcentował znaczenie pamięci o robotniczych protestach z czerwca 1976 r. Podkreślił również, że represje wobec robotników z Ursusa, Radomia i Płocka stały się impulsem do budzenia społecznej solidarności, rozumianej jako moralny obowiązek obrony skrzywdzonych. To właśnie z tej solidarności wyrósł Komitet Obrony Robotników, jednoczący przedstawicieli różnych środowisk w obronie godności człowieka.

W trakcie konferencji odbyła się również ceremonia wręczenia Medali „Pro Bono Poloniae” oraz „Pro Patria”.

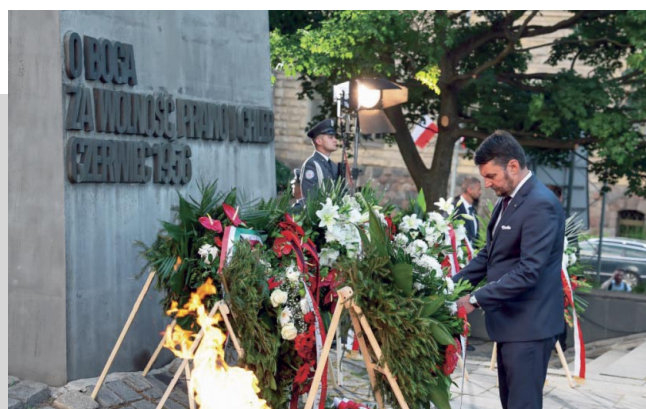


Radomski Czerwiec '76

W 50. rocznicę Radomskiego Czerwca szef UdSKIOR przypomniał, że Czerwiec '76 nie był jedynie buntem robotników. Był momentem, w którym Polacy zaczęli organizować się wokół wzajemnej pomocy i odpowiedzialności.

– Dzisiaj, z perspektywy pięćdziesięciu lat, oddajemy hołd tym, którzy mieli odwagę powiedzieć „nie”, gdy większość milczała. Tym, którzy bronili swojej godności, choć groziły im represje. Tym, którzy pokazali, że nawet najpotężniejszy system nie jest w stanie zwyciężyć ludzi zjednoczonych wokół prawdy, wolności i solidarności. Niech pamięć o Czerwcu '76 przypomina nam, że historia nie zmienia się sama. Zmieniają ją ludzie gotowi wziąć odpowiedzialność za wspólnotę – podkreślił.

W trakcie uroczystości odbyła się ceremonia wręczenia Medali „Pro Patria”. Lech Parell wziął również udział w uroczystości przy pomniku Radomskiego Czerwca '76, zorganizowanej przez Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność” Ziemia Radomska, przed którym złożył wiązkę kwiatów.



FOT. UDSKIOR (5)

Poznań był początkiem

W historii każdego narodu są miejsca i wydarzenia, które stają się czymś więcej niż tylko wspomnieniem. Stają się symbolem. Takim symbolem jest Poznański Czerwiec 1956 r. – pierwszy wielki bunt społeczeństwa przeciwko komunistycznej władzy po zakończeniu II wojny światowej – podkreślił Lech Parell podczas obchodów 70. rocznicy tych wydarzeń.

Szef Urzędu złożył kwiaty przed Pomnikiem Poległych w Powstaniu Poznańskim 28-30 czerwca 1956 r., a następnie przed tablicą pamiątkową Powstańców Czerwca 1956, odbyła się uroczystość z udziałem władz wojewódzkich. Podczas uroczystości szef UdSKIOR wręczył Medale „Pro Bono Poloniae” oraz „Pro Patria”.

– Poznański Czerwiec nie zakończył się w czerwcu 1956 r. Jego echo rozbrzmiewało później na Wyrbrzeżu w Grudniu 1970 r. Rozbrzmiewało w Radomiu, Ursusie i Płocku w czerwcu 1976 r. Rozbrzmiewało w działalności Komitetu Obrony Robotników, który stanął w obronie prześladowanych. Wreszcie rozbrzmiało potężnym głosem milionów Polaków zrzeszonych w Solidarności. Dlatego możemy dziś powiedzieć: Poznań był początkiem – mówił Lech Parell.

Obchody zakończyła uroczystość w auli Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza z udziałem kombatantów, uczestników protestów czerwca 1956 r., przedstawicieli środowisk opozycji demokratycznej, a także przedstawicieli władz państwowych i samorządowych, w tym prezydenta RP. Międzynarodowy charakter uroczystości nadała obecność zagranicznych przywódców - prezydentów Albanii, Łotwy i Węgier.